N. 39. WARSZAWA d. 16 (28) Września ROKU 1872.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

POJĘCIE PIĘKNA

W TEGOCZESNEM WYCHOWANIU DZIECI.

Niemowlęciu, wybierającemu się po raz pierwszy na ręku niańki w świat boży, towarzyszą zwykle gorące chęci matki, ukazania swego pieszczoszka w postaci jak najpiękniejszéj. Więc go się ubiera w sukienki i wstęgi, na jakie stać tylko matkę rozmiłowaną. Sprawa to dosyć naturalna łatwa i tania, dopóki oczywiście dziecię ukochane znajduje się jeszcze w stanie niemowlęctwa. Filigranowe kształty dziecka, jego twarzyczka okrągła, rumiana, wesoła, w któréj każda matka widzi tyle skarbów piękności; jego oczki duże, pełne, żywe i wymowne; jego rączki krągłe i pulchne: wszystko to nie wymaga niczego więcéj, jak trochę czystości, trochę gustu i pieczołowitości. Dziecko musi się tu wydać pięknem i uroczem, bo samo przecież jest piękne. Ale jeżeli policzymy znowu ową moc drobiazgów kosztownych i zbytkownych, któremi zamożne matki stroją swe dzieci dla tego jedynie, by zadosyć uczynić prawom i wymaganiom *bieżącéj mody*, lub żeby strój dziecka świadczył zarazem o tonie, szyku lub sposobie myślenia matki: to taki tryb opieki macierzyńskiéj musi w każdym z przechodniów obudzić mimowolnie te wnioski smutne i bolesne zarazem, że niemowlę to, już się nie otrząśnie z tych pierwszych (pono najtrwalszych) wrażeń—wzrośnie raczéj w téj myśli jedynéj, że celem życia jest... szata, pozór i próżność.

Ale i ten zbytek nie jest jeszczy w gruncie niczem tak strasznem dla przyszłości dziecka, jeżeli go tolerować będziemy tylko do chwili, w któréj dziecko zaczyna stawiać pierwsze kroki.

Któż nie uczci i nie podzieli uczucia młodéj kobiety, która w upojeniu szczęścia swego przygotowuje sukienki, koronki i wstęgi, ażeby w te drobne cacka przyoblec jak najprędzéj swego aniołka?

Kiedy młoda matka w błogiéj nadziei szczęścia swego, zbiera i układa z niewymownym wyrazem rozkoszy i pieczołowitości drobne kaftaniczki, czepeczki i poduszki, w których spocząć ma rumiana twarzyczka niemowlęcia, wtenczas jest ona piękną, tak piękną, jak nią nigdy jeszcze nie była, boć ideałem piękności kobiecéj była dla mistrzów wszystkich wieków zawsze tylko postać *Madonny*, owéj *matki* z matek najszczęśliwszéj. Dziecię Madonny nie ma wprawdzie na sobie kaftaniczków haftowanych, nie ma sukienek i misternie zdobionych poduszeczek: anielską krasę i urok dziecięcia stanowi jedynie zachwycająca harmonja kształtów.

Klimat nasz nie dopuszcza takiéj prostoty w ubraniu—dla tego też nie mamy nic przeciwko zbytkowi, jakim młode matki nasze otaczają swe niemowlęta, ale pod warunkiem, że nie dopuszczą jako matki troskliwe i kochające, aby zbytek ten przelewał się strumieniem w duszę dziecka.

Najwyższą pochwałą poetów i dziejopisów greckich było wyrażenie: „To był dobry i *piękny* człowiek". Sądzim, że ktokolwiek zabawił choć raz w życiu z rozkoszą i utęsknieniem w téj epoce czystych ideałów i wzorów, temu pewno przez myśl nie przejdzie, że owym „*pięknym* człowiekiem" jest może nowoczesny elegant z bródką misternie kręconą, albo lalka warszawska, która fryzurą, kapeluszem, krawatem i paletotem swoim, upodobniła się najzupełniéj do mężczyzny.

Litować się nieraz przychodzi na widok, z jaką to cierpliwością i rezygnacją poddaje się niejeden człowiek poważny i niemłody despotyzmowi szyku i mody; z jaką skwapliwością wyrzuca na nowe szmaty grosz ostatni, by się zabawić kosztem... dobrego smaku! Możnaby się tu litować ale i—uśmiać serdecznie z tych baranków arlekinady.

Przypatrzmy się tylko owéj maleńkiéj kilkoletniéj laleczce, utoczonéj jak najmisterniéj od głowy do stóp, przypatrzmy się jéj ruchom na ulicy lub w ogrodzie Saskim: jak to dziecko kręci noskiem i usta ironicznie sznuruje na widok gromadki dzieci bawiących się wesoło, nie przebierających w środkach zabawy, wracających nieraz do domu z rozdartą sukienką lub guzem na czole. Suknię matka naprawi główka sama się zgoi, i sprawa załatwiona w sposób najprostszy w świecie. Dziecko się bawi, żyje, do ludzi nawyka, mężniéje i jakto mówią „obciera sobie różki niebezpieczne."

Ale mała „dama" kręci noskiem na te uciechy wesołéj i pustéj drużyny; [illegible] się od nich z minką wzgardy i mija zdala, aby, broń Boże! nie dotknąć się nową świeżą sukienką téj „hałastry"; za to mustruje troskliwie swe śliczne trzewiczki, majteczki haftowane, żakiecik w najnowszym fasonie i rękawiczki."

Owoż i takie *mądre* i *dobrze* wychowane dziecko, z całą armią nałogów i grzechów (godnych zaledwie wieku dojrzalszego) takie mówię dziecko *wynaturzone*, jest właśnie produktem tegoczesnéj teorji piękna w wychowaniu dzieci. Dość spojrzeć raz tylko na ośmioletnią laleczkę, aby w duchu nie dostrzedz pani matki; z jaką to subtelnością przegląda na dziecku nędzne drobiazgi i szmatki, które najświeższa moda powkładała na niewinne ramiona; słyszym wyraźnie radosne jéj okrzyki: „Ah! to piękne—to śliczne, lub: Ah! jakaś ty śliczna, mój aniołku; albo: Jeźli Ninia będzie grzeczna, dostanie jeszcze piękniejszą sukienkę!" itp. Widzim tę matkę, jak w niewinną duszyczkę dziecka zaszczepia metodycznie owe smutne pojęcia piękna, za któremi idzie zwykle uczucie dumy, zarozumiałości i wzgardy dla drugich; widzim ją, jak już od kołyski zaczyna pokazywać dziecku najfałszywsze drogi i zasady życia.

Piękno ma być także środkiem wychowania. Zgoda. Ale niechże nie będzie także znowu tylko *celem*... Już od dość dawna zgodzono się na to, że nie należy pomijać milczeniem zbawiennych skut-

ków, jakie wywołuje wpływ piękna na umysł dziecka. Tak jest; piękno może być znakomitym środkiem w wychowaniu, ale tylko dla człowieka, dla dziecka, dla serca w ogóle, któreśmy *nauczyli* odczuwać piękno ze strony najczystszéj. Tylko człowiek, który je w ten sposób odczuwa, będzie żył duszą przeczystą. Dobre serce, umysł piękny i szlachetny, to ideał, to szczyt piękna w dziecku! Nie na szmatki, nie na różnice w kroju żakiecików, nie na trzewiczki i obcaski, nie na rękawiczki obcisłe i parasoliki modne kierujmy wzrok dzieci niewinnych, *ale je uczmy nazywać „pięknem" to tylko, co jest wielkie i dobre, szlachetne i wzniosłe.* Gańmy i krytykujmy sukienkę dziecka tam tylko, gdzie tego czystość koniecznie wymaga. „Brud i nieporządek pozostanie na zawsze brzydotą" i tak go też dzieciom przedstawiajmy. Głównym atoli warunkiem dobrego pod tym względem przykładu, jest przykład samychże rodziców. Zadaniem rodziców winno być usiłowanie nieokazania dziecku brzydkich wad charakteru lub pożycia domowego. Zrzędna i swarliwa matka, zły i despotyczny ojciec, kaprysy i sceny domowe, złe obchodzenie się z podwładnymi: oto wieczne źródło „brzydkich" przykładów w domu rodzicielskim! Zjawiska takie muszą zaćmić w sercu dziecka czysty „piękny" obraz rodziców. Do jak wysokiego stopnia wrażliwym jest umysł dziecka na brzydkie sceny domowe, o tem wie każdy, kto sięga cokolwiek jeszcze pamięcią w lata dziecinne. Dzieci odczuwają i zgadują od razu najmniejsze objawy dysharmonii rodzinnéj, i zrównąż łatwością można je znowu oswoić z tem, co „dobre i piękne", nie potrzebując wcale uciekać się do środków mody i zbytku.

Jak dalece wrażliwym jest umysł młodzieńczy, na wpływ piękna lub prostactwa i jak dalece zależy potem od tego cały w ogóle ustrój i charakter społeczeństwa, dowodem tego może być niejeden szczegół z dziejów ludzkich. Młodość i skutek pierwszych wrażeń człowieka przedstawiają nam się najwierniéj w życiu starożytnéj Grecji, kiedy jeszcze idea *piękna* zapisaną była na [illegible]nie wychowania społecznego. Prześliczna harmonja w rozwoju realnego i idealnego kierunku, łagodziła zły wpływ wychowania wyłącznie-państwowego, którego przedmiotem była tylko idea państwa, idea i forma rządu, ale przenigdy—*człowiek*, ów człowiek, który przecież sam jeden powinienby zapełnić sobą i swemi wielostronnemi potrzeby, cały zakres czynności rządowéj. Owych szkód i katastrof strasznych, przez jakie ludzkość innych ludów i wieków przechodzić musiała dla tego jedynie, że jednostkę wychowywano tylko do celów politycznych, obcych zgoła indywidualności i wartości człowieka, szkód wych nie ponosiło greckie społeczeństwo z tych racji naturalnych, że wielkie przykłady i wzniosłe idee piękna w poezji, naukach, architektonice, rzeźbie i malarstwie, a szczególnie w fizycznem wychowaniu dzieci, wpływać musiały zbawiennie na charakter i na ową klassyczną „*równowogę*" umysłu, o któréj nasze wychowanie domowe dowiaduje się ciągle jeszcze tylko z podręczników historycznych...

Nie myślimy tu wykładać historyi i metafizyki piękna, bo i samo pojęcie piękna na nic się nie przyda nikomu, jeżeli wychowanie domowe nie poszuka go sobie *samo* w tajnikach potrzeb codziennych. „Kto chce, wiele może" mówi proste przysłowie, a matka, pragnąca wychować swe dzieci praktycznie i estetycznie zarazem, nie potrzebuje chodzić koniecznie na wydział estetyki *ad hoc*.

Nie dozwolić modzie robić z domów ulicy, a z ulicy domów; nie zamieniać szaf i skrzyń gospodarskich na sklepy bławatne i fryzjerskie; nie robić szyku i blichtru celem życia dla siebie a „szkołą" zepsucia dla dzieci: to już zasługa i chluba niemała dla domu, pragnącego zreformować swe życie na lepsze.

Trwały przykład małego ale wzorowego gospodarstwa domowego; umiejętny rozkład pracy między ojca, matkę, dzieci i sługi, przedewszystkiem atoli umiejętne i rzetelne spożytkowanie godzin wypoczynkowi poświęconych: oto przewyborny wzór estetycznego i etycznego wychowania.

Tegoczesna pedagogika nie jest co prawda tak bardzo etycznie usposobioną. I pedagogika jest dzieckiem wieku, a wiek nasz ma obecnie tylko *praktyczność*, na celu. Zadanie życia materjalnego, oraz środki i drogi wiodące do niego, nie idą w parze z celami i środkami oświaty duchowéj, pokładającéj główne swe zadanie na podniesieniu ducha, serca i władzy intellektualnéj. Materjalizm spycha oświatę na drugie miejsce, a z człowieka robi istotę wyłącznie fachową. Ale też nie ma prawa nazywać się „wychowaniem".

Materjalizm tegoczesny uczy nas, jak być praktycznym, ale nie uczy, jak być *światłym* człowiekiem. Szkoła pakuje chłopcu w głowę mnóstwo wiadomości fachowych, ale o istotę i o charakter człowieka nie troszczy się wcale. Skutki tego pośpiechu, tego wyłącznego uganiania się szkoły za chlebem, spadają ciężkiem brzemieniem na społeczeństwo, któremu zarzucamy potem brak równowagi, brak czynu, rozumu politycznego i tym podobnych zalet społecznych, któremi się mało kto w Europie pochwalić może. Nic łatwiejszego, jak wychować chłopca na istotę czysto fachową podług regulaminu pruskiego (tak słusznie i bez litości schłostanego przez pedagogów nowszéj szkoły), nic mówię prostszego jak wyprodukować machinkę automatyczną i oddać ją co prędzéj w ręce rodziców, którzy w przekonaniu, że dziecko dojrzało wszechstronnie, zdają dobrowolnie opiekę nad niem i uważają wychowanie jego za skończone.

Zdanie Platona i Arystotelesa, a z nowych Montaigne'a, Niemeyera, Herbarta, Jean Paula i szlachetnego Pestalozzego, wskazuje szkole inny kierunek. Nauka tych mistrzów i przewodników ludzkości opiewa: „*Wychowanie powinno przedewszystkiem starać się rozwinąć i rozszerzyć zakres myśli, zdolności i zamiarów młodzieńca do tego stopnia, iżby owe władze, które stanowić mają w człowieku podwalinę siły moralnéj, rozwijały się w dziecku i młodzieńcu stale i normalnie bez najmniejszych luk i szczerb, wywoływanych zbyt częstem i nagłem niszczeniem upustów, powściągających falę materjalizmu*".

Takie wychowanie nie potrzebowałoby się lękać walki przekonań z wymaganiami czasu: zadaniem jego byłoby owszem pośredniczyć w walce dwóch zasad krańcowych, oraz koić i zabliźniać rany i rozdwojenia społeczne.

Gdzie *siła moralna* i co za tem idzie, prawdziwe *światło*, nauki są podstawą wychowania domowego, szkoły i życia publicznego, tam organizm społeczny a za nim i naród cały nie potrzebuje się obawiać żadnych katastrof.

Tu w tym punkcie spotykamy się znowu z pojęciem piękna w tegoczesnem wychowaniu. Nie dość pokazać dziecku, co piękne i co umoralnia, bo teorja taka na nic się nie zda: tu trzeba czynu, trzeba *żywego przykładu* rodziców i nauczycieli, trzeba umieć wznieść się samemu nad poziom i przykre kolce życia powszedniego. *Wtenczas tylko* można być nauczycielem drugich.

Matka, która zdolną jest dać z siebie dziecku swemu przykład owego pięknego spokoju duszy, który wyniosła z walki życia, matka taka zdolną będzie także zrozumieć duchowe potrzeby dziecka i dać mu na drogę życia wiatyk z własnych przykładów i usiłowań, jak ma szukać i pilnować równowagi i spokoju duszy w każdym wypadku życia. Matka taka jest już sama *ideałem piękna* w wychowaniu i tak się też przedstawia ona zawsze potém w wyobraźni i przekonaniach dziecka.

Ale matka, która odurzona swemi dostatkami widzi tylko ideał piękna w ładnej powierzchowności swych córek; która im pomaga stroić swe ciało w szmaty zbytku, by je módz tém prędzéj i snadniej rzucić na przynętę falangom młodzieży salonowéj, matka taka wychowuje dziecko na „ideał kobiety"— *potwornéj*. Już przecież młodość sama trwa nie długo, a cóż dopiero młodość podniecona sztucznemi środkami. Zazdrość, duma, zarozumiałość, egoizm, pustka w głowie a czczość w sercu lalki nowożytnéj, musi nietylko dobić w połowie drogi życie młodości, ale oszpecić, sponiewierać i zdyskredytować na długie czasy ideał piękna młodzieńczego.

Jakże znowu rozkosznym jest obraz panienki zdolnéj spoglądać wesoło po świecie, zdolnéj śmiać się i płakać z dziećmi, zdolnéj naiwnym powabem serca i twarzyczki przykuć młodzieńca na zawsze do siebie, zdolnéj popłynąć spokojnie z falą życia i ominąć niejeden szkopuł, niejeden drobiazg życia, który w lalce nowoczesnéj roznieca nieraz wulkany pełne namiętności: jakżeż, mówię, rozkosznym musi być w dzisiejszych czasach wizerunek takiego anioła, i jakżeż szczęśliwą musi być taka dziewica.

Jedna suknia, jedna spinka jest dziś kwestją życia dla wielu niewiast.... Sztuka „podobania się" stała się manją i chorobą niejednéj. Mówię wyraźnie „*sztuka*", bo w saméj rzeczy doszło do tego, że jedynem zadaniem dziewicy jest często *umieć* podobać się. A ponieważ umiejętność podobania się zależy znowu od tysiąca szmatek i łatek, mianowicie od maskowania i pokrywania słabych wdzięków taktyką mody i ubrania, tworzy się więc z tych manewrów nieczystych, przerażające mnóstwo pozorów czyli *kłamstw* występnych. Niestety! życie wielu rodzin naszych jest gniazdem takiego kłamstwa i takich chuci upędzających się tylko za pozorami, za blichtrem, i fałszem życia. Rzeczywiście, trzeba mieć szczęśliwą i wyjątkową moc charakteru, ażeby pomimo tak złych maksym życia rodzinnego. nie dać się wychować na pośmiewisko i wzgardę ludzi poważnych.

Za tém idzie, że znowu niejeden ojciec, niejedna matka, co to pragną z duszy wpoić w dziecko uczucie wieczystego piękna, otrzymali w nagrodę od ludzi krótkowidzących tytuł: „fantastyków, idealistów, sentymentalistów, etc". Piękny folwarczek, spory posag, zdają się być dzisiaj w samej rzeczy alfą i omegą wychowania. Niejeden ojczulek ma to przekonanie, że jego synalek będzie dobrym i szczęśliwym człowiekiem, bo będzie miał z czego żyć, a charakter jego także jeszcze nie ostatni... Ale ileż traci potém to dziecko na swojem bogactwie i gospodarstwie, jeżeli go nie stać na spokój duszy, równowagę umysłu i serce zdolne odczuć czasem zbawienny wpływ piękna, prawdy i światła wyższego! Jakże mu brak potém tego talizmanu, który w godzinie nieszczęścia lub nagłej zmiany losu, pozwala zdobyć się jeszcze na siłę moralną i nie da upaść sromotnie! Na to, ażeby się umieć utrzymać z chlubą i wewnętrznem zadowoleniem na fali życia powszedniego, na to nie potrzeba nam ani charakteru Katonów ani temperamentu stoików. Prostszym na to środkiem jest piękno duszy znane powszechnie *religijnością*. Jeżeli nauczymy dzieci jak i gdzie mają szukać Stwórcy swego, jak mają zdawać sobie sprawę z własnych uczuć i myśli i prze-

konań sumienia, jak się mają cieszyć z dobrego uczynku, a smucić rzetelnie z występku: to wychowańcy tacy zdobędą się nietylko na równowagę umysłu, ale pozostaną nadto ludźmi i obywatelami *religijnemi*, w najczystszém znaczeniu tego pojęcia.

Pielęgnujmy zatem piękno, ale piękno w najczystszéj postaci. To nas poprowadzi niejednokrotnie doprawdy życia, do moralności, religii i czystości serca. *Pięknem* zapełnić możem nie jedną pustkę w sercu i głowie, *pięknem* jak kitem spoić zdołamy nieraz okruchy przekonań strzaskanych w kawałki, w źle zrozumianéj i podjętéj walce życia. Kto oczywiście patrzy się tylko na piękno ze strony zewnętrznéj i niezdolen jest odczuć go głębiéj w swem sercu, ten przechodzi około niego jak nieuważny pielgrzym około źródła przeczystéj wody. Kiedy zaś nadejdzie ostatnia godzina obrachunku z życiem i światem, wtenczas dopiero woła niepocieszony: *„Wszystko jest nicością!“*

August Jeske.

WISŁA.

Płynie fala po fali,
Coraz daléj a daléj,
Płynie Wisła rzek swojskich królowa;
To ćmią białe jej łono
Chmury grubą osłoną;
To je zorza ozłoci różowa.

To nad brzegiem żałośnie
Wiotka wierzba wyrośnie,
Jak sierota za matki mogiłą;
To w ostrowiu dąb stary,
Wznosi w górę konary,
Pyszny krasą stuletnią i siłą.

To okrąża dokoła,
Z pluskiem fala wesoła,
Błonia lśniące w purpurze i złocie;
To się nagle zapieni,
Gdy po głuchej przestrzeni,
Szczery piasek potrąca w przelocie.

Płynie fala po fali,
Coraz szerzej, wspanialej,
Prądem bystrym daleko niesiona;
W moc się dzielną rozmnoże,
Nim szerokie ją morze,
W potężniejsze ogarnie ramiona.

* * *

Płynie życie jak woda,
Ta poranna swoboda,
Złoci niebo jutrzenką różową;
To zwiastunka niedoli,
Chmura przemknie powoli,
I zachuczy piorunem nad głową.

To sieroctwo otoczy,
Kirem serce i oczy,
I świat Boży zamieni w pustkowie;
To znów w duszy zwątlonej,
Błyśnie listek zielony,
Jak na dębie w odwiecznym ostrowie.

Życie płynie a płynie,
To się brzegiem nawinie,
Kwiat ozdobny purpurą i złotem;
To brzeg pusty i blady,
A piaszczyste zawady,
Fala życia roztrąca z łoskotem.

I czas bieży a bieży,
A im dalej tem szerzej,
Prąd z łożyska wybiega na strony;
O! wybiega szeroko,
Jak myśl sięgnie i oko,
Nim go wieczność ogarnie w ramiony.

Korespondencja z Krakowa

(Dokończenie.)

Wrzesień.

W pierwszych dniach po dokończonych wyborach zajmowali się bardzo gorąco myślą, kogo na prezydenta krześle osadzić. Ale zajmowali się tem sami radcy, wyborcy zaś, miasto całe, po amatorsku nie jako przedmiot ten traktowali. Chrześcijańska większość mieszkańców naszych okazuje się dość obojętną na swój przywiléj i to tak dalece, że przy wyborach bardzo łatwo pokonywać się dawała, mogąc na każdym punkcie zwyciężać. Rzecz ciekawa: póki się mówi o tych rzeczach na ulicy, w sklepie, w domu przy winie i herbacie o wyborze czy na radcę, czy na prezydenta, zapał jest wielki, energija zdaje się, niezwykła, czujność obudzona na wszystko, rozprawy gorące i wcale rozsądne i poważne; jak przyjdzie stanąć w godzinie *oznaczonéj* i w sali *oznaczonéj* na wspólną naradę, zaledwie czwarta lub piąta część żarliwych obywateli przybywa. Czyby to nie miało dowodzić, że radzi rozprawiamy i dowodzimy, kiedy bez regulaminu, bez porządku, bez oznaczonego ściśle przedmiotu nagadać się, kilka dowcipów w świat rzucić, lub kilka upolować możemy. Kiedy zaś wypada poddać się przepisanym do rozpraw formom, kiedy niewolno wszystkim razem mówić a nikogo nie słuchać, lecz jak jeden mówi, drugi uważać i myśléć winien, wtenczas zapał obywatelski nas odstępuje, jakieś wielkiéj wagi interesa na przeszkodzie stoją, jak np. herbata proszona, muzyka w ogrodzie strzeleckim, teatr zajmujący lub porozumienia przedwyborcze. Nawet same wybory w nader szczupłém gorliwszych odbywają się kółku. Inaczéj działają bracia, nie wiem właściwie jakiego stopnia, Mojżeszowego wyznania. Obywatele ci z dawnych lat poniżenia swego, przyzwyczajeni do solidarności, do współkowego działania, nie zbierają się razem, ale zbiegają; umarli nawet na głos obywatelskich obowiązków powstają, chorzy opuszczają łóżko, nieobecny *jeden*, dwóch plenipotentów posyła i tym sposobem w nadzwyczajnym komplecie do urny wyborczéj przybywają. W zapale nieudanym do spełnienia posług obywatelskich, gdy dobroczynne prawo nadało im równe z odwiekowymi gospodarzami grodu naszego przywileje, tak chętnie korzystają *z równości*, że nie w równéj połowie, ale, *całe* ulice i trotoary zalegają, tak że nowego zakonu wyznawcy, zaledwie przez tłumy nowych braci przecisnąć się do swego mieszkania mogą. Ich zapał i szlachetna duma daléj jeszcze sięgają, bo kiedym jednego czci najgodniejszego lichwiarza, chciałem powiedzieć, wekslarza zapytał, a czy też umie protegowany jego pisać i czytać w naszym języku, odpowiedział z oburzeniem na to niegrzeczne pytanie: „a na co jemu pisać, na co jemu czytać? Co jemu potrzeba, to on umie po swojemu. A czy umie mówić w tym języku, bo tam na sessjach rady miejskiéj bardzo dużo mówią— odrzekł z oburzeniem jeszcze większem: „niech panów o to głowa nie boli —on po waszemu nie gada, ale interes lepiéj od wszystkich panów zrozumie—ja daję na to moje słowo honoru“. Jakże na to odpowiedzieć, kiedy taki człowiek daje słowo honoru? Przeczyć rzecz niebezpieczna bo choćby do krwi rozlewu nie przyszło, ale do zbiegowiska—niezawodnie. I tak rozmowa się zaczęła na ulicy we dwóch, a kiedym odchodził, obywateli co nie mówią, nie piszą i nie czytają, było już ze dwudziestu, a ja zawsze sam jeden. Zapał tedy i gorliwość obywatelska daléj sięgają *(po interesa)* i wiele mogą, bo pod ich wpływem człowiek wszystko rozumié.

Jakiem tedy powiedział, właściwi, pierwotni grodu tego mieszkańcy, nie wiele się zajmują przyszłym wyborem prezydenta, i dobrym instynktem wiedzeni, byliby gotowi przyjąć po raz drugi szanownego Professora, Rektora i znakomitego lekarza, ale postępowi ludzie, których zawsze nie wielu a każdy jeden za miliony stanie, życzyli sobie zmiany, choćby w téj niewinnéj nadziei, że któryś z nich z urny wyjść może. W tym celu czynią się naturalnie pewne zabiegi, wysilenia godziwe zresztą gdy idzie o dobro ogólne, aby usunąć od kandydatury starych, jako zużytych, a na ich miejsce postawić krzepką młodość.

Ta partja postępowa, liberalna nie jest bez wartości względnéj; ponieważ wiele mówi i ciągle dowodzi, przypadkiem więc może czasem coś rozsądnego i pożytecznego wyrzec i dowieść. Otóż niektórzy z tych panów, kto wie czy niesłusznie utrzymują, iżby się zdało więcéj trochę energii w wykonywaniu praw postanowionych, iżby nie od rzeczy było, aby pierwszemu lepszemu szanownemu obywatelowi, choćby się gniewał i konstytucją zasłaniał, kazać dach zrzucić, jeśli go świeżo gontami pobija, z uwagi na dobro i bezpieczeństwo ogółu. Pożary są dość częste, a od zupełnéj zagłady miasta, od klęski powszechnéj chociaż straż ochotnicza z poświęceniem rzadkiem, odwagą prawdziwą i biegłością dziś już znakomitą ratuje, to może się zdarzyć, że siły téj straży niewystarczą, jeśli przypadek albo zła wola w kilku na raz punktach ogień roznieci. Jakby jednemu dach popsuto i jeszcze za nadużycie przepisów karę zapłacić kazano, pohałasowałby sąsiad, przyjaciel, krewny, aleby nie probował sam przepisu łamać: —wołają także ludzie niepostępowi nawet zgodnie z postępowymi, że czas pomyśléć, o oczyszczeniu kamienic, nim spodziewana kanalizacja, na któréj brak konserwatyści zwalają wszystko, zaprowadzoną zostanie, bo lokatorowie płacą za mieszkania nielitościwie drogo i mają prawo, aby ich zdrowie i życie na niebezpieczeństwo nie było narażone. Tymczasem jeżeli dziś kończy się na chronicznym katarze, który wcale miłym i pożytecznym nie jest, jutro za pierwszą wizytą cholery, skończy się na nie jednym gorzéj, a o ile wiemy, nie ma nigdzie napisanego, że od złego w domu powietrza lokator umrzeć może, ale właścicielowi wychodzi ono na zdrowie. Nie! zaprawdę!—i właściciele krakowscy wedle ogólnego prawa, są śmiertelni i pomimo swéj powagi pod karą śmierci uledz mogą. Powiadają nadto złośliwi krytycy, że obok energicznéj na sessji wymowy, należałoby takąż energią okazać w czynie i dopilnowanie zalecić, komu należy, aby się zbyt często ściany naszych domów nie zawalały, bo jak te nowe domy staną się mieszkalnymi, przygniatają niewinnych lokatorów.

O nieszczęsnym gazie powiadają aż do znużenia, że on także paliłby się wcześniéj, dłużéj i jaśniéj a humorystom nienastręczał powodu do powtarzanych bez końca żartów, i na komitet gazowy przestanoby fukać, że podjął się a nic nie zrobił. Wesołe pijaństwa, serenady pod oknami naszemi wyprawiane, ustałyby mogły także, gdyby magistrat mniéj konsensów wydawał na szynki, a porozumiał się

z kim należy i kozą rzetelną popsuł ten zbyt dobry humor pijakom. Wiele a wiele jeszcze skarg i narzekań wszystkich partij przywieść do milczenia by się dało, gdyby za słowami tak zwanemi w naszéj polszczyznie, *orzeczeniami*, szło bezpośrednio wykonanie i dopilnowanie onego.

Do tych jednak ulepszeń i do całéj nieprzejrzanéj przyszłości miasta, niepotrzebny prezydent *nowy*, ale *nowa*, prawdziwa działalność radców magistratu, których jest sześćdziesięciu i *nowe* pojęcie obowiązków obywatelskich w mieście właścicieli domów, którzy odebraliby w nagrodę spokojność sumienia, i—kto wié, czy nie większe jeszcze z lokalów czynsze, co ważniejsze i.... niewątpliwe kandydatury do radcowskich krzeseł. Czyliż tak imponująca najzdolniejszych mężów liczba, podzieliwszy się na drobne sekcje nie *mówców*, ale *działaczy* i wyprawiwszy się na wędrówkę po wszystkich najbrudniejszych i najczyściejszych pozornie ulicach i przecznicach, nieopuszczając żadnej posessji, nawet radcowskich, nie potrafiłaby okiém swojem bystrém, bo doświadczoném zajrzéć tam, gdzie nikt nie zajrzał dotąd i niesfornych wrogów porządku, zdrowia i czystości pociągnąć do kary najdotkliwszéj, do kary pieniężnéj? Jest rzeczą niewątpliwą, że radcy nasi, którzy tak trafnie i pięknie na każdéj sessji głos podnoszą, skruszyliby wymową swoją, faktami na gruncie zebranemi popartą grzecznem słowem—a w razie nieprzyjęcia dobrego słowa, znaleźliby w publiczném zawstydzeniu niepoprawnych, lub w uciążliwéj egzekucji, środek powstrzymania plugactwa i niedbalstwa.

Otóż działanie magistratu powinno być wszędzie po za murami jego, po za salą jego posiedzeń, a to rzecz nie trudna, skoro się ma sześćdziesięciu opiekunów i kierującą nimi władzę. Do takiéj działalności dawny prezydent wystarczy, byle miał pomoc skuteczną wszystkich, którzy mu godność tę ofiarowali. Na całym świecie urząd ten oddają mężowi już zasłużonemu, nie takiemu co się zasługi chce dobijać, otoczonemu blaskiem sławy i życzliwością powszechną. O takiego nie łatwo u nas gdzie każdego wychylającego głowę z korca, strychulcem karcą, gdzie wyższość wszelka musi pokutować wiecznie za to, że jest wyższością: tymczasem ten, który jest, może najmniéj dotąd sponiewierany. Może na jego miejscu młodszy byłby energiczniejszym, ale powagą nie dorównałby mu niezawodnie, gdy przecież brak energii starca szanownego, radcy zdwojoną działalnością zastąpić powinni,—pod bezpośrednim kierunkiem zdolnych istotnie, i wielce doświadczonych vice-prezydentów. Niechaj odnowiona rada poślubi szczerą pracę, niechaj we wszystko wglądać raczy i wszystko widzieć chce, choćby nie raz serce zabolało i stosunki osobiste widzieć nie pozwalały—a Kraków będzie miał godną powagi swéj reprezentacją złożoną ze sławy, doświadczenia i przezorności. Ci sami, którzy są, dadzą radę najtrudniejszym sprawom, skoro w zamiarach swych wspierani będą czynną pomocą, gdy na straży pracy stać będzie sumienie obywatelskie, dobra wola, skąpstwo w słowach, a bogactwo w czynach. Nowi uczyćby się musieli a miasto koszta ich nauki płacić; starzy znają już sprawy miasta i uczyć się niepotrzebują. Tylko, tylko, jakeśmy powiedzieli, mają się rozejść po mieście, poznać je we wszystkich zakątkach, kontrolować sami siebie i nie wahać się mówić prawdy i nieoszczędzać nikogo. Z początku zapewne nie jeden poniesie straty na utrzymanie czystości, na przerobienie co przerobić koniecznie należy, ale się to prędko wróci przy napływie coraz nowych mieszkańców. Budowa kamienic jest nieoszczędna; mnóstwo murów w brudzie gnije i wypadnie wkrótce, wezwać budowniczych przerobić to, wyjaśnić, wyświeżyć, uwygodnić, a przybędzie lokalów i czynszu i majątek ogólny podniesie się.

Abe.

Przegląd teatralny.

EPIDEMIJA; dramat w czterech aktach przez Józefa Narzymskiego.

(pierwsze przedstawienie dnia 21 września 1872 roku:)

Powodem autorowi do napisania téj sztuki była upowszechniona i aż dotąd trwająca w Galicyi i całéj Austryi gorączka giełdowa. Widok nagłego zbogacania się upaja i zachęca: rozsądni ludzie tracą zastanowienie, porzucają zwyczajne zajęcia i zarobki by rzucić się na spekulacje papierowe; głupcy pędzą na ślepo za drugimi nie rozumiejąc ani celu ani środków; synowie okradają rodziców, słudzy panów, by gorączce téj pofolgować albo znaleść w niéj usprawiedliwienie swych występków. Słowem, autor przedstawił tę giełdę jak istne piekło, którego szatanami są wielcy spekulanci, a ofiarami wszyscy, od poważnych naczelników rodzin aż do najniższych jednostek społecznych, a klęski ich odbijają się nietylko w ruinie materjalnéj, ale w skrzywieniu i upadku obyczajów, uczuć, praw moralnych.

Autor zreassumował niejako wrażenie, jakie otrzymuje każdy co bliżéj obezna się z tym kierunkiem ekonomii i finansów, który od jakiegoś dziesiątka lat istotnie uwyraźnia się w państwie austryjackiem, gdzie własność, praca i przemysł obłożone są niesłychanemi podatkami, co zwraca od naturalnéj drogi zarobku, a ułatwia drogę hazardownym spekulacjom. Wszyscy już powieścio-pisarze, humoryści, i publicyści galicyjscy w rozmaitych formach wypowiedzieli swoje w tym przedmiocie ostrzeżenia i opinje. U nas rzecz ta jest niezrozumiałą.

Kto z publiczności słyszał na przedstawieniu *Epidemii* wykrzykniki oburzenia przy każdéj katastrofie: Ah! to giełda—to ta przeklęta giełda! mógłby sądzić, że ta giełda jest jakąś instytucją zgubną, zbrodniczą, i przyjść do bardzo wstecznych wyobrażeń.

Nie nasza rzecz określać tu znaczenie téj instytucji, która jest znakomitą dźwignią obrotu przemysłu krajowego; chcemy tylko powiedzieć że co innego jest instytucja sama w sobie, a co innego nadużycie jakie ludzie szaleni lub złéj wiary uczynić z niéj mogą; i tę to drugą stronę autor w sztuce swéj tak namiętnie przedstawił, o pierwszéj zamilczawszy zupełnie. Gdyby się wreszcie sam autor bliżéj przyjrzał swemu dziełu przekonałby się, że nie sama giełda była źródłem złego jakie odsłonił, że słabości charakteru i niedobre skłonności znalazły tylko w niéj ujście, a jeśli nie tym to innym wylałyby się kanałem.

Jakoż, obywatel ziemski, Karwacki, nie słucha rad młodego inżyniera, Bolesława, swego przyszłego zięcia, nie chce łożyć nakładów na ulepszenie gruntów, mające przynieść znakomite korzyści rolne; deklamuje przeciw ryzykownemu rzucaniu kapitałów, ale dotknięty epidemiją, nagle, bez żadnego przejścia, rzuca je w grę giełdową, i powierza się w tym względzie kierownictwu wiedeńskiego bankiera Goldszmita. Cóż to jest, jeżeli nie prosta słabość charakteru, z trudnością dająca się usprawiedliwić w człowieku uczciwym, sumiennym, żyjącym pod najlepszemi wpływami tradycyi i domowego obyczaju. Bo czyż taki człowiek nie rozumie różnicy, jaka zachodzi między prostem zakupieniem publicznych papierów procentowych, a grą giełdową, która jest w moralnem znaczeniu bardzo spokrewnioną z grą w karty lub ruletą. *L'apétit vient en mangeant* powiadają francuzi; i Karwacki, raz zakosztowawszy nektaru Fortuny, już się na tej drodze wstrzymać nie może.

Tu znowu na drodze staje zbrodnia, która z giełdą taką samą ma wspólność jak z każdem innem, nierównie idealniejszem powołaniem. Goldszmit jest bankierem z powołania, ale z charakteru zbrodniarzem. Podobała mu się córka Karwackiego, Marja, i pragnąłby posiąść ją. Ale jak tego dokazać? Kupić jej nie można,—uważa to z żalem,—więc trzeba ją zdobyć siłą podstępu. W tym celu należy nasamprzód wysadzić kochanka, za którym przepada Marja.

Bolesław, zrazu ukochane dziecko Karwackiego zaczął już nieco tracić u niego mir, od czasu gdy razem z jego żoną i córką, sprzeciwiał się jego giełdowemu szałowi. Na rozdrażnione serce przyszłego teścia, Goldszmit rzuca zarzewie oburzenia w artykule, jakoby przez Bolesława wydrukowanym, który głupcami nazywa wszystkich co dają się wyzyskiwać spekulantom giełdowym. Oburzony Karwacki zrywa z Bolesławem, i bez sprawdzenia rzeczy, wypędza go ze swego domu. Nowa słabość.

Goldszmit, którego papiery przedziwnie stanęły w sercu Karwackiego, chce się powoli wsunąć do jego domu otworem, którym wyszedł Bolesław, ale by poprzednio wypróbować grunt, posyła szpiega i dowiaduje się że Karwacki, lubo wielce mu sprzeciwiający, nie cierpi zapachu *czosnku i cebuli*. Nieoględność Karwackiego uczyniła mu nieprzejednanego wroga w Goldszmidzie... Nie lubi on, jak powiada, środków gwałtownych, ale jak tu ich nie użyć przeciw tak wyniosłemu szlachcicowi: i co prawda, to dziwnem się przynajmniéj wydać musi takie ze strony Karwackiego traktowanie człowieka, który w ręku dzierży jego fortunę. Jest to zatem człowiek i słaby i beztaktowny.

Bankier postanawia go zgubić, bo to najprostsza droga zyskania ręki Maryi. Bankier, to silny człowiek, sprytem i pieniędzmi. Za pośrednictwem przedajnego Hofratha i niedyskretnéj faworyty Ministra, dowiaduje się tajemnic politycznych, według których urządza zwyżkę lub zniżki papierów, przez co jak piłką rzuca depozytami złożonemi w jego rękach. Wszystkie wreszcie okoliczności składają się na oddanie mu w ręce Karwackiego.

W jego otoczeniu znajduje się niejaka pani Kwocka, wdowa z synem Arturem. Jest to osoba bezpośrednio nie należąca do przebiegu akcji dramatycznéj, i nie wspominalibyśmy o niéj w przytoczeniu treści, gdyby nie to, że jest z życiem nakreślona i z wybornym humorem przez p. Palińską oddana. Pobożna, plotkarka, głupia i wścibska, przypominająca w części Starościnę Korzeniowskiego z Wąsów i Peruka, gra ona również na giełdzie przez pośrednictwo Goldszmita, i jest szczęśliwą matką skończonego łotra, który niedosyć że fałszuje weksle z jej podpisem, ale i do podobnego postępku namawia syna Karwackiego, Władysława. Wszystkie te weksle przechodzą do rąk Goldszmita, który w danym razie potrafi z nich zrobić użytek. I w tem właśnie leży najdzielniejsza sprężyna, działań bankiera dla zdobycia Maryi.

Artur jest także jednym z pretendentów do jéj ręki. Owoż Goldszmidt nastraszywszy go fałszywemi wekslami, daje mu przyjacielską radę, że jeżeli chce posiąść Marję, wciąż zakochaną w nieobecnym Bolesławie, to powinien ją skompromitować,

i tem niejako zmusić do małżeństwa. W tym celu przy pomocy Zosi, służącéj Marji, ma on się zakraść nocą do jéj pokoju, gdy ta będzie obecną przy choréj matce, i odegrać z Zosią, przebraną za Maryę, na balkonie rolę Romea i Julii, w obec świadków na dole, spuścić się po jedwabnéj drabince, skandal ogłosić w pismach, i oczywiście ożenić się. Na to zgadza się z zapałem Artiur, a po jego odejściu Goldszmidt woła sekretarza, by o umówionéj godzinie pod balkonem, na mocy fałszywych weksłów spoczywających w jego ręku, kazał aresztować Artiura, boć oczywiście on miał tu być tylko narzędziem, nie celem, a ze skandalu miał skorzystać Goldszmidt.

Karwacki, zniżką swych papierów zubożony ze szczętem w kapitałach, przez fałszywe weksle syna dotknięty na własności nieruchoméj, zbliża się do stanu zupełnéj nędzy; skandalem z córką, choć przekonał się, że zmyślonym, zabity moralnie, pozostaje całkiem na łasce Goldszmidta, który wtedy dopiero prosi go o rękę córki, strasząc nadto, że w razie odmowy, syn jego jako fałszerz może być oddany do kryminału. Oczywiście, że Karwacki nie odmawia, dziwi się nawet wspaniałomyślności bankiera, że on taki zacny człowiek, chce przyjąć za żonę jego zniesławioną córkę, i przyrzeka wpływać na nią. Ale z sercem niełatwa sprawa; córka wiadomości téj o mało nie przypłaciła życiem. Ojciec zbyt jest szlachetnym, ażeby miał ją zmuszać do takiego nieszczęścia, lecz rozważając jedno z drugiem uznał, że mu nic nie pozostaje tylko samobójstwem skończyć dzieje kilkomiesięcznego szału. Otóż do czego prowadzi giełda!

Jakim sposobem Karwacki przyszedł do takiéj konkluzji i jakim sposobem wyrozumował sobie pożytek takiego rozwiązania rzeczy, doprawdy pojąć trudno. Tu widocznie autorowi zbrakło środków logicznego sprowadzenia katastrofy, i brak sił własnych zrzucił na głowę swego głównego bohatera. Żona i córka mówią mu o pracy, o podniesieniu się przez powrót do życia oszczędnego i wytrwałego; on gotów zdaje się do wszelkich poświęceń i oczywiście przy wspólnéj usilności i jakiejś resztce majątkowéj, położenie jeszcze wcale nie jest rozpaczliwem. Nie! on tłomaczy sobie, że jak żonę pozbawi męża, a dzieci ojca, to to będzie daleko lepiéj!! Więc chwyta już pistolet.... gdy w tem wchodzi Bolesław z dowodami podstępów Goldszmidta w ręku, z usprawiedliwieniem dla siebie, z pomocą dla całéj rodziny. Słońce razem z nim wejrzało na tę noc nieszczęścia. Goldszmidt, który w téj chwili przyszedł po stanowczą odpowiedź, zostaje wypędzonym za drzwi, ku wielkiéj uciesze grą Żółkowskiego rozklaskanéj publiczności.

Sztuka ta, wzięta w całości, ma w sobie wiele zdrowego elementu, tak moralnego jako i dramatycznego; szczególniéj uderza nas trafna obserwacja krajowych umysłów i usposobień, oraz zręczne wprowadzenie ich w grę życiową. Sceny, nacechowane dokładną znajomością serc ludzkich i obyczajów spółczesnych, lekko i gładko przechodzą jedna za drugą; tu tryśnie iskra dowcipu, tu jakaś głębsza uwaga filozoficzna wciśnie się pośród sytuacje komiczne, lub wystrzeli w humorystycznéj formie. Każda z licznych postaci nosi na sobie myśl jakąś lub odróżnia się pewną szczególnością charakteru, co wszystko razem wzięte, przy ożywionym stylu nadaje utworowi pewną dystynkcję i trwałość. Tylko zamało snadź doświadczenia miał młodo zmarły autor, ażeby dziełu swemu nadać wymaganą jedność, fakt każdy należycie usprawiedliwić i rozwiązanie organicznie połączyć z założeniem, lecz byłaby to już rzecz wypraw, która, niestety, równo z życiem autora ustała. Niedoświadczenie to mianowicie odbiło się w słabościach i niekonsekwencjach głównéj postaci, która nie mogąc być doprowadzoną do wysokości tragicznéj ani utrzymać się w granicach zwyczajnéj komedyi, waha się między obu charakterami i przechodzi często, w ostatnim zwłaszcza akcie, w jakiś niezdecydowany melodramat, pociągając za sobą i innych w podobnież niezdecydowane sytuacje. Nie winimy jednakże o to bynajmniéj aktora. P. Królikowski zbyt wysoko stoi w sztuce by sobie nie umiał poradzić z takim Karwackim. Uszanował on też każdą intencję autora, na barkach silnego talentu dźwignął tę słabą postać, w chwilach rzewnych uczynił ją rozczulającą, w chwilach obłąkania sympatyczną, jednak ułomności kompozycji saméj „zakryć nie potrafił bo to nie jego rzecz.

Nierównie wdzięczniejsze zadanie było p. Żółkowskiego. Goldszmidt stanowi w téj sztuce najwyższe świadectwo zdolności autora; jest to figura prawie zbliżająca się do typu, studjowana z natury, kreślona z siłą, prawdą i umiarkowaniem. W każdem jego słowie przegląda samolubstwo, rachunek i pogarda wszelkiego uczucia ludzkości: bankier istnym kapłanem Mammona wyszedł z gry p. Żółkowskiego, jego chłód lekceważący, jego giesta krótkie, obrachowane, wybornie znamionowały tę duszę silną a poziomą, która nic oprócz siebie nie widzi. Tyle podobnych postaci przesunęło się na teatrze naszym i na kartach literatury naszéj, że łatwo można było wp aść w kommunał: owoż, ani autor ani aktor nie mają na sobie tego zarzutu. Goldszmidt Narzymskiego i Goldszmidt Żółkowskiego, są postaciami samoistnemi. Gdyby ten Goldszmidt znalazł był odpowiednio silnego partnera w Karwackim, sztuka mogłaby była zająć jedno z pierwszych miejsc w literaturze dramatycznéj; słaby Karwacki zanadto wiele daje nad sobą przewagi Goldszmidtowi, tak, że zamiast iskry z uderzenia dwóch kruszców, następuje bezświetlne zdeptanie.

Rolę Maryi przedstawiała p. Bakałowiczowa. Nie miała ona w niéj do pokonania jakichś szczególniejszych dla swego talentu trudności, gdyż Marya niczem tak dalece nie odznacza się od zwyczajnych kochanek komedii. Ile jednakże uczucia i naiwności potrafił w postać tę wlać autor, tyle z lichwą nawet oddała mu artystka, w grze tu swojéj składając jeden dowód więcéj, że środki patetyczne, wzruszenia silniéj miotające duszą, nie są dla niéj tajemnicą.

Jedną też z dzielniejszych postaci jest tu Artur, typ młodego szubienicznika, którego z humorem i werwą przedstawił p. Szymanowski. Gra jego, rzec można, była skończoną; co wreszcie mniéj więcéj powiedziećbyśmy mogli o całym składzie osób, które pomimo słabnącego nieraz interesu w układzie scenicznym, przez cztery blisko godziny nie dopuściły braku zajęcia w słuchaczach.

Kazimierz Kaszewski.

Korespondencja z Polesia

Treść. Potwór żarłoczny w Kijowie.— Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. — Byt obywateli ziemskich i włościan na Polesiu. — Nadzieje na głośne sądownictwo. — Owrucz i jego pamiątki historyczne. — Geograficzny i archeologiczny rzut oka na okolice Owrucza. — Królowa Bona i Jadwiga stają się powodem podróży korespondenta. — Korostyn.—Kopalnie św. Olgi.—Kurhany. — Ludność p. Owruckiego w podziale na wyznania religijne. — Żywe społeczne wyższe klassy pod względem towarzyskim i umysłowym. Zastój i postęp.— Czy tu rzeczywiście zupełna głusza?

Opuściłem Kijów w czasie niebardzo przyjemnym bo epidemicznym. Cholera, jak smok bajeczny, chwytała żywcem ludzi. Ofiarą jej obżarstwa padło półtora tysiąca mieszkańców tego miasta, każdy więc jeśli miał gdzie —uciekał, a ja mając w perspektywie kilka tygodni swobody od zwykłych mych zajęć i pracy, po całorocznem chaotycznem życiu w mieście, za pragnąłem odetchnąć świeżem powietrzem wioski, wypocząć po trudach i przykrościach. Zatopiwszy wzrok w falujące złocistem zbożem łany, napawając się aromatycznym zapachem świeżego siana, czemuż bym nie miał wam przesłać ztąd, gdzie nie ma ni opery ni baletu,jakiegoś sielankowego,lub idyllicznego obrazku wioski? Wesoły gwar, śmiech miesza się z kos dźwiękiem; pieśń ochoczych żniwiarek przeciągle płynie i dalekim echem odbija się w lesie. Wieczór, dożynki, kraśne dziewczę, całe zapłonione składa wieniec ze zboża gospodarzowi. Zastawione pod gwiaździstem niebem stoły pełne jadła, napoju. Muzyka, wesoły taniec, zalecanki młodych wieśniaków, tęskne spojrzenia zakochanego dziewczęcia, i t d. i t d. Czemu?—bo to są li wspomnienia z moich lat dziecinnych, które się głęboko wyryły w méj pamięci, bo tego dzisiaj u nas nie ma. Duch czasu, i tu powiał swem lodowatem tchnieniem, ścichła poezja w duszy. Troski o wynalezienie robotnika, bo sąsiad—magnat robi podkupy, nie myśląc o jedności z bracią szlachtą, troski o wydostanie pieniędzy na rozmaite opłaty — oto życie wiejskiego obywatela. Zastaw lichwiarzowi, eksploatorowi za wódkę lub pieniądz: pól i łąk, sprzedaż z konieczności bliższemu lub zamożniejszemu sąsiadowi, jeszcze zimową porą dni letniej pracy, także nie wywołuje uśmiechu wesela na twarzach niemałej części naszych kmiotków. To też i nie dziw że porozrzucane tam i owdzie na niwie żniwiarki milczą, że kosarz w zadumie niekiedy tylko wyrzuci z ust jakieś gburowate słowo, że we dworze *tłoki* nie ma. Sam śpiewak *Zofijówki* lub śpiewak *Justyny*, nie znalazłby w dzisiejszem wiejskiem życiu treści do swych idyllicznych pieśni, i westchnąwszy rzewnie nad zmiennością rzeczy ludzkich, wróciłby do swojej cichej mogiły.

Szkółki wiejskie, do których się wybiera nie więcéj nad jednego lub dwóch malców z każdéj wioski, większą część roku stoją puste.

Dziwne też u ludu pod względem religijnym panują przekonania, jakby promień światła ewangelicznego nie wcisnął się jeszcze do tych puszcz głuchych, jakby wieki wstrzymały się w swym pochodzie i Poleszuk błąkał się w ciemnicy pogańskich pojęć. To też lud tutejszy tylko formą ściśle zachowywaną chrześcijańskim nazwać się może, w duchu, w treści swych myśli i wyobrażeń, o Bogu, przyszłym żywocie, nieśmiertelności duszy, nim nie jest.

Pomimo tego w sercu jego w całym moralnym

ustroju, mieszczą się nieprzebrane skarby najpiękniejszych przymiotów. Złem brzydzi się nie z obawy kary w tem lub przyszłem życiu, ale że ma wstręt do niego z natury: błądzi też bezwiednie, dobrze czyni z nałogu a choć pozorem swéj dzikości nie pociąga a nawet odpycha, poznawszy bliżéj kochać się każe a często szanować. Oświata właściwie rozwinięta, da mu wiele, ale zniszczy to co stanowi w nim prawdziwego Poleszuka.

Klasa mieszczan (byłéj zagonowej szlachty), jeszcze więcéj gruba i ciemna.

Mamy jednak nadzieję, że wszystko to złe zniknie wraz w prowadzeniem u nas *głośnych sądów*, co wkrótce ma nastąpić, że ujrzymy gwiazdę sprawiedliwości, któréj tak jesteśmy żądni.

Spędzając długie letnie dnie na wsi przy rozmaitem zajęciu, a wieczory na czytaniu książek, lub miléj w kółku rodzinnem gawędce, niekiedy w wolne chwile odwiedzamy się wzajemnie w sąsiedztwach, a w niedzielę i święta jeździmy na mszę do parafialnego po-dominikańskiego kościołka w Owruczu, którego, mówiąc nawiasem, dzwonica bez dachu, zniszczonego przez pożar jeszcze w 1864 r., i pochylony, padający prawie krzyż na głównej kopule, pomimo starannego wewnętrznego utrzymania, coś nieszczególnie przemawiają o dbałości zapewne miejscowego dozoru?

Ale może nie od rzeczy będzie powiedzieć tu słów kilka o tym starożytnym grodzie Owruczu, dawniéj Drewlan stolicy i narysować maleńki szkic z okolic jego. Sądzę bowiem, ze nasza zapadła Poleska kraina, pomimo tego co o niéj pisano, tak mało jest znana, że znajdzie się do powiedzenia o niéj to i owo, co może być jakąkolwiek nowością dla wielu. Nie będziemy przytem wgłębiać się we wszystkie najrozmaitsze przejścia, jakim ulegał Owrucz w czasie długiego swojego na kuli ziemskiéj istnienia, zapisane w kronikach i aktach—są one przedmiotem historyka, my zaś wcale tu nie mamy zamiaru pisać historyi tego miasta.

Owrucz (dawn. *Brucz*, *Obrucz*, *Obręcz*), wraz z Korostynem o 4 mile od niego ku południowi położonym, główny gród, a teraźniejsza powiatowa mieścina, licząca 3000 mieszkańców po większej części żydów (1700), rozrzucony w malowniczéj pozycyi na górze nad wązką rzeką Noryniem, poważnie i wspaniale przedstawia się oku od strony wjazdu z Żytomirskiego pocztowego traktu, szczątkami murów dawnéj fortecy ruinami i wieżycami świątyń. Zachwycony podróżny, wjechawszy doń, zostaje zupełnie rozczarowanym, gdyż i cechę starożytności nawet stracił o ono po zniszczeniu, przez pożar głównéj frontowéj jego części.

Od strony wjazdu z naszej wioski, położonéj o wiorst ośm od Owrucza, po lewéj jego stronie na polu zwanem Królewszczyzną wznosi się kurhan, rozkopany przez archeologów w r. 1840—jest to mogiła Olega ks. ziemi Drewlańskéj, który zginął w czasie bitwy z bratem Jaropełkiem, ks. Kijowskim. Niedawno postawiono na tym kurhanie czarny krzyż z napisem. Minąwszy ten pomnik przeszłości wjeżdża się w ulicę nędznie zabudowaną, wiodącą aż do centrum miasta. Tu znowu miłośnik starożytnych zabytków, minąwszy rząd sklepików i domów zajezdnych zbliży się do ruin blizko tysiąca lat sięgających, cerkwi Św. Bazylego, wystawionej przez Św. Włodzimierza w krótce po wprowadzeniu do Rusi chrześcijańskiéj wiary. Ślicznyż bo to zaiste pomnik przeszłości te odwieczne zwaliska. Pozostały z niego tylko dwie ściany i wpółokrągła nawa z pięciu oknami w górze. Mur gruby, którego nawet ząb czasu zgryźć, a deszcze w ciągu wielu wieków zmyć nie mogły, składa się z płyt granitowych, spojonych mocnem jak kamień wapnem, że skałę zda się przypomina. Na sklepieniach są jeszcze ślady nieźle wykonanych malowideł alfresco; okna wązkie jak strzelnice dla braku szkła zaciągane tu były błonami. Na chóry prowadziły niegdyś kręcone wschody a we framugach dotąd się jeszcze znajdują wmurowywane garnki, hładycze dla lepszego echa. W starych cerkiewnych aktach następujące tyczące się tych ruin, znajduje się podanie.

W bardzo odległej przeszłości, gdyż sięgającej tysiąca lat, poraz pierwszy weszli tu starożytni Drewlanie, a zdumieni ogromem niesłychanéj w nich dotąd pierwszej chrześcijańskiéj budowy, zawołali z dziecięcą prostotą: „Ot gdybyż tu huknąć,—co za echo by się rozległo do koła! Nowoprzybyły kapłan dozwolił im sprawić sobie tę satysfakcyę osobliwszego rodzaju, z warunkiem corocznej na korzyść świątyni opłaty pewnego haraczu. Dzicy huknęli, echo rzeczywiście *hucznie* im odpowiedziało, a wnucy, prawnucy i wszyscy potomkowie owych ciekawych puszcz mieszkańców, aż do skasowania téj cerkwi daninę, zwaną *hukoszczyzną* opłacali... Przed kilkudziesięciu laty znaleziono tu kawałek pargaminu, następujące mieszczący wyrazy: Dejkajut' staryje lude czo sia cerkow buła hołyi załotowerchaja" Przebąkują starzy ludzi, że ta cerkiew pokryta niegdyś była złotym dachem. Dziś jest to tylko smutna ruina otoczona dokoła grobami. Groby rozkopywano i znaleziono wielką mnogość drobnych pieniążków Zygmunta III, Jana Kazimierza, obok potłuczonych garnków kości i szczątków trumien. Sam nawet, zwiedzając te mury znalazłem kilkanaście podobnych monet w wierzchnim pokładzie ziemi, które zachowałem w maleńkim moim archeologicznym zbiorku. A na szczycie zwalisk bocian zwił sobie gniazdo, i nieraz stojąc na jednej nodze, klekoce donośnie jak strażnik na warcie, dając hasło, że on jeden pilnuje pustki.

I przechodzień, jeśliże chce zwiedzić dawne kollegjum bazyljańskie i fortecę w tem miejscu, zaledwie odszuka z nich szczątki, spaliły się bowiem w przeszłym wieku, a na ich miejscu stoi cerkiew Zaruczajska; i uda się do położonéj w mieście na stromej górze wspaniałéj budowy w stylu byzantyjskim z dwiema pokrytemi srebrną blachą wysmukłemi wieżycami nakształt minaretów. Niegdyś przed czterdziestu laty był to klasztor Bazyljanów, przeniesiony do murów pojezuickich i dawne o sześciu klasach szkoły Owruckie. Dziś jeszcze pyszny i piękny chociaż walący się w gruzy, jest soborem greko—rossyjskiego wyznania. Ubyło w nim wiele posągów dobrego dłuta, ale malowidła alfresko w całości pozostały. Znajdujący się w głębi głównej nawy nad ołtarzem, szczególną zwraca uwagę: jest to prawie artystycznie wykończony obraz Wniebowzięcia Najświętszej Panny, wśród tysiąca aniołów i obłoczków. Oko znawcy zastanawia się na tem mistrzowskiem malowidle, w którem chór aniołów ze swą Królową wznosząc się i ulatując w obłokach, sprawia złudzenie tak silne, ze widz, zda się lęka, by nie znikł mu z przed oczu gdzieś w przezroczu niebieskiem. Przyćmione, niepewne światło okien jeszcze większe sprawia złudzenie.

Po zwiedzeniu murowanéj wieży, przedstawiającéj wązkie, okrągłe nakształt lochu, wgłębienie w ziemię, i domku który przed dziesięciu laty zamieszkiwał nasz Adam Pług, serdeczniéśmy się roztali ze staruszkiem, panem B.

Nieopodal od Owrucza leżące wioski: Husury, Haftury i t p. miały stanowić niegdyś przedmieścia w czasie jego świetności. Dokoła miasta rozlega się płaszczyzna. Tylko gdzie—niegdzie stojące na obszernych polach sosny, świadczą iż cała ta przestrzeń była niegdyś pokryta ciemnemi lasami, w których zanadto pogospodarowała niszcząca ręka człowieka.

Na zachód ku miasteczku Sławeczni, ciągnie się na wiorst czterdzieści, falowata częścią wzgórzysta okolica, poprzecinana miejscami przez głębokie jary i urwiska, z których zaledwie wyglądają drzew wierzchołki. Okolica ta, nazwana *Hulaj—hora*, kończy się pod Sławeczną i tam dopiero, równie jak i o kilka z jednej, a o kilkanaście, lub kilkadziesiąt wiorst z drugiéj strony Owrucza, zaczynają się puszcze poleskie czarne, posępne, napełnione bagniskami i dzikim zwierzem. Puszcze ciągną się w głąb gub. Kijowskiej i Wołyńskiéj, w Mińskiej zaś już się łączą z lasami Litewskiemi. Mieszczą one w sobie ludne wioski, za to w głębi gub. Wołyńskiéj na zachód i szczególnie ku Litwie, przedstawiają niekiedy obrazy prawie nietkniętych jeszcze ręką ludzką dziewiczych lasów, a w nich typy napół dzikich mieszkańców, zachowujących jeszcze wiele ze starosłowiańskich balwochwalczych obrzędów. Obfite pole dla badacza, historyka—archeologa. Jedną z takich miejscowości, naprzykład, jest wyżéj wspomniane między Sławeczną i Olewskiem położone czarnolesie. Okropne nawaty z całkowitych dębów i sosen, pierwobytne dróg ulepszenia na bagniskach i błotach, nie bardzo pochlebne o sobie dają wyobrażenie temu, kto po nich jedzie i co chwila stęka „aj! oj! a ostrożnie! a zmiłuj się, pomału! i t d. Widać, że tu oświata nie dotarła jeszcze ze swą niszczącą siekierą i smok ognisty, pożerający nasze lasy, a nazwany lokomotywą, nie zajrzał do tych puszcz wiekowych, które zwiedzając, mimowolnie przyjdą na pamięć słowa nieśmiertelnego wieszcza.

„ Po jednej stronie błyszczą świątyń szczyty
I szumią lasy—pomieszkania bogów."

Wioski tu Horodzin Kuliki z kurnemi chatami i niedawno zdaje się zniszczoną odwieczną modrzewiową cerkiewką, Ozierany, w których znajduje się niezgłębione ogromne jezioro, z przywiązanem do siebie podaniem o zatopieniu przez diabła w tem miejscu całej wioski wraz z cerkwią. Prawdziwie zlitwiniali poleszucy z kołtunami na głowie z pewną dzikością i chytrą dobrodusznością w twarzy, dają się już napotkać w głębi lasów na pograniczu z gub. Mińską. Zresztą, co się tyczy samych lasów, po cóż mam się silić, by niedołężnem piórem rysować ich dziwną i wieszczą krasę, gdy „Pieśń o Ziemi" Pola mile dźwięczy w rozległéj naszéj krainie.

Niezliczona ilość kurhanów gęsto rozrzucona w całéj okolicy, stanowi niemniéj ciekawy przedmiot badań dla ludzi, trudniących się kwestją o nich, w dziedzinie nauki podjętą. Kilka z nich było rozkopanych przez obywatela powiatu Owruckiego, pana M. Piotrowskiego. Trudna to rzeczywiście rzecz do uwierzenia, aby wszystkie one były pamiątkami li dawnych wojen rozmaitych plemion i najść tatarskich. Niektóre są ogromnéj, zdumiewającéj oko wysokości, jak naprzykład znajdujące się pod miasteczkiem Nożyńskiem, a na nich szumią odwieczne dęby, brzozy i sosny.

Pod miasteczkiem Iskorością (staroż. Korosten), krom wielkiéj ilości takowych kurhanów, śladów oczywiście bitew Drewlan z Kijowianami, są jeszcze wysokie sypane ręką ludzką ziemne wały, widać szczątki fortecy, zdobytéj przez Igora, ks. Kijowskiego, którego mogiłę tu pokazują. Tu także w romantycznéj miejscowości, gdzie rzeka Usz bystremi falami przecina chcące stawić jej wodom opór, zwały kamieni, obok okrytéj na wierzchu lasem, równéj jak ściana skały, sięgającéj blizko 200 stóp wysokości, ukazują trzy wymyte w ciągu wieków przez wodę naturalne kamienne łożyska, a na największem znich coś wyrytego, podobnego do litery *o*. Miały to być, jeśli wierzyć podaniu, kopalnie św. Olgi. Wyraźne

tu są także wygłębione na kamieniu trzy ślady końskich kopyt, które wiara ludowa przypisuje koniowi św. Jerzego, z czasu, gdy ów wojownik szedł walczyć z poganami. W posiadłościach wsi wielkiéj Czernihówki, leży pod lasem obszerna płaszczyzna, zasypana czystym żółtym piaskiem; znajdują się tu szczątki dawnych wyrobów ręki ludzkiéj; podanie chce tu widzieć odwieczne jakieś miasta piaskiem od niepamiętnych zasypane czasów. Miejsce to, nazywające się *Hurki*, mam zamiar w tych dniach zwiedzić, obecnie posiadam znaleziony tam szczególny kawałek naczynia z gliny o jakiem nadmienia hr. Tyszkiewicz w swojéj archeologicznéj pracy. Chociaż wiele jeszcze można u nas odszukać i w ziemi i w podaniach, bo przeszłość śpi tu snem niepamięci i zapomnienia o niéj badaczy, lecz możesz ciekawy czytelniku, i tak domyślić się jak my tu żyjemy i co porabiamy? Pośpieszę więc zadówolnić twoje chęci. Ilość mieszkańców pow. Owruckiego wynosi około 60,000, z których 46,500 są wyznawcami religji wschodnio-katolickiego kościoła; 8,500 rzymsko-katolików i 5,000 starozakonnych wyznawców Mojżesza; zaś ziemia w stepowéj części tego powiatu rzadko piaszczysta, częściéj dobra i wcale urodzajna, dostarcza nam poczciwego kawałka chleba.

W ciągu kilku ostatnich lat u nas, tak było cicho, że zda się anioł spokoju przeleciał nad naszą krainą. Niekiedy sąsiad odwiedził sąsiada, lub zebrane z powodu jakiéj rodzinnéj *gali* grono powietników pogwarzyło o tem i o owem, przyczem kilku młodszych, a mamy ich bardzo ograniczoną liczbę, chociaż dziadków naszych 500 edukowało się w Owruczu, z panienkami w gry się zabawiało. Pod względem literatury i nowin, któremi świat się interesował była tu tak zwana *gruba prowincja*; rzadko kto prenumerował gazety, mało domów widziało u siebie Pismo perjodyczne, a już nie wiem do jakiego *minimum* można by było doprowadzić liczbę tych, co coś słyszeli o nowych dziełach, książkach lub mieli je u siebie. Polityka nawet, owe niewyczerpane nigdy źródło najrozmaitszych częstokroć dziwacznych wniosków naszych *muczrodziejów*, spoczywała gdzieś za piecem, a karty rzadko się kiedy w ich ręku pojawiły. Był to czas powszechnéj apatji i powszechnéj myśli o chlebie powszednim. Dźwięk za to dzwonka aż do dziś dnia napełnia życiem domostwo, u którego wrót da się słyszeć.

W pozaprzeszłym roku powiat się nieco, a w przeszłym nawet wiele ożywił. Częściéj się zbierano, częściéj tańczono na skromnych wieczorkach. Kilka domów w tym celu otworzyło drzwi gościnne. W wielu domach zaczęto się interesować bieżącą literaturą i nauką, prenumerować pisma perjodyczne. Szkoda tylko, że książki nowe są tu po większéj części ogromną rzadkością, rarogiem niezwyczajnym, że brak ich zupełny dotkliwie czuć się daje, że prędzej spotkać się tu można z „Historją pięknéj Meluzyny" lub z krakowską książeczką. „Skotopastki, miłostki, liryki, wiązanki" etc., jak z książką nawet belletrystycznéj treści, wydania z lat poczawszy nieco później od roku urodzin drugiéj połowy XIX wieku. Szkoda, wielka szkoda! To też, jeśli z przykrością ujrzałem tu parę egzemplarzy młodzieży, wynoszącéj się nad równość braterską i jedność z powodu że posiadają *jedną* więcéj wioskę... z niewypowiedzianą przyjemnością patrzę na poczciwe gronko, wprawdzie bardzo małe w ilości, innéj młodzieży, połączonéj bez względu na niejednakową wielkość swych kieszeń, węzłami prawdziwéj przyjaźni. Ono to bowiem, dzwoniąc wesoło dzwoneczkami, że aż echo w dalekich odbija się puszczach, jeżdżą sobie w dnie swobodne od gospodarczych zajęć od sąsiada do sąsiada, a gdzie ten *Stary Testament* jak siebie nazywają, a do którego i mnie pod imieniem p. Jeremjasza niedawno przyłączyli, zawita tam śród tańca i swawoli, to pomoże w jakimś kłopocie zacnéj wdowie, to z myślą naprzód odezwie się przed zacofanym szlachcicem, a ten już z kiesy kilka rubli na pismo literackie, naukowe, lub przemysłowe wydobywa i co w wolnéj chwili przeczyta, innym opowié; to zgrabnie wykaże, co jest niewłaściwém, śmieszném lub złém w domie współbrata, to prawi o wzajemnéj pomocy i dłoni braterskiéj, któréj szczególnie jeden z tego grona daje szlachetny i godny naśladowania przykład.

Polesie—nie jest to więc *głusz*, pełna li błota i bagnisk, jakowe pojęcie dość często zdarza się posłyszeć z ust koroniarza o bijącém gdzieś daleko sercu poleskiéj chaty; nie jest również okolica, dorównywająca oświatą zachodowi,.. ale właśnie dla téj ostatniéj przyczyny, przy błędach—siostrach natury ludzkiéj, można tu znaleźć więcéj serdeczności i poczciwości zmięszanéj ze szczérą prostotą; jaśniéj tu nawet oświetla serce płomień rodzinnego ogniska.

Rok bieżący przy chwalebnéj pracy każdego około ojczystéj gleby i niezaniedbaniu przytém (wprawdzie przez znaczną jeszcze mniejszość,) umysłowego rozwoju, tém się różni od przeszłego, że nie jest ożywiony wielu zabawami i że przy trudnéj gospodarce, obarczonéj uciążliwémi rozmaitéj treści rozchodami nad siły, które nie u jednego wyczerpały grosiwo z kiesy, myśl o połączeniu rolniczych zajęć z jakąkolwiek gałęzią przemysłu, coraz więcéj dojrzéwa w głowie obywatelstwa ziemskiego.

F. M. Ejsmont.

Ostatni wybuch Wezuwjusza i badania nad nim naukowe.

Ostatni wybuch Wezuwiusza, o którym, kończąc nasz artykuł *o Trzęsieniach ziemi i wybuchach Wulkanicznych*, obiecaliśmy Czytelniczkom naszym choć streszczoną podać wiadomość, rozpoczęwszy się w ostatnich dniach kwietnia b. r. mocno przeraził i zatrwożył mieszkańców Neapolu i jego okolic, a ciekawość uczonego świata wszędzie rozbudził.

W przeszłych numerach podaliśmy już opis tak samego Wezuwiusza jak i znaczniejszych wybuchów jego, oraz licznych i niejednokrotnych spustoszeń, których był przyczyną.

Wybuchy wulkaniczne stanowiły dotąd przedmiot podziwu lub przestrachu, lecz nie były jeszcze badane z całą ścisłością naukową, mogącą do stanowczych wiadomości i rezultatów doprowadzić. Badania te dopiero od roku 1855 rozpoczęły się, dzięki staraniom profesora uniwersytetu Neapolitańskiego Luigi Palmieri, w obserwatoryum głównie w tym celu na pochyłości Wezuwiusza wystawionem, którego mianowany został dyrektorem. Urządził on tam własnego pomysłu dowcipny bardzo przyrząd, któremu nazwę *sysmografu* nadał, i za pomocą którego najlżejsze wstrząśnienie ziemi zanotować można, jakoteż kierunek jego i czas trwania. Bez odpowiedniej ryciny niepodobna jest dokładnie opisać tego ciekawego lecz dość skomplikowanego przyrządu. Składa się on ze słupów marmurowych głęboko w ziemię wkopanych, na nich ustawione są rurki szklanne o dwóch nierównych kolankach, z których wyższe napełnione jest żywem srebrem: ustawione są one w czterech głównych kierunkach! na północ, południe, wschód i zachód. Za najlżejszém wstrząśnieniem kolumn marmurowych, rtęć się przelewa w kolanko niższe i podnosi w niem mały pływak, który za pomocą nitki wprowadza w ruch bloczek ze skazówką zaznaczającą siłę i kierunek wstrząśnienia, w razie poruszenia się dwóch bloczków odpowiadających dwóm kierunkom, np. wschodniemu i południowemu, będziemy mieli kierunek wstrząsnienia południowo-wschodni.

Poruszenie bloczka jednocześnie ustala także prąd elektro-magnetyczny, który zatrzymuje natychmiast jeden zegar a drugi puszcza w ruch, tym sposobem oznacza czas trwania wstrząśnienia, oraz za pomocą przyrządu w rodzaju telegrafu Morse'a wstrząśnienia te notuje.

Już od stycznia b. r. Wezuwiusz zaczął być czynniejszy, nawet utworzył się nowy mały krater i stożek wulkaniczny, lecz zapadł się wkrótce, następnie kilka małych otworów na wierzchołku góry się uformowało. Należało się spodziewać wybuchu. Palmieri prosił, aby obserwatoryum połączono drutami telegraficznemi z niektóremi miejscowościami bardziej na niebezpieczeństwo wystawionemi, co w ostatnim wybuchu wielką przysługę okolicy byłoby wyświadczyło, wcześnie zawiadamiając o kierunku potoków lawy. Nie uczyniono jednak zadość żądaniu jego.

Dnia 22 Kwietnia poczęły się z głównego krateru ukazywać wielkie massy ognistego dymu. Na drugi dzień wybuchy zwiększały się ciągle w całéj okolicy, rozlegały się podziemne huki, podobne do huku kamieniami obładowanych wozów po bruku pędzących, silne wstrząśnienia od czasu do czasu czuć się także dawały. Mieszkańcy wiosek u podnóża góry zasypanych, poczęli opuszczać swe domy i w Neapolu szukać schronienia, a mnóstwo ciekawych, najwięcéj podróżnych, podążyło na górę, ażeby bliżéj przypatrzyć się strasznemu zjawisku. Palmieri nieustraszony i cały nauce poświęcony, nie mając telegrafu, co cztery godziny przez posłańców donosił do najbliższéj stacji telegraficznéj, o stanie wulkanu i o grożącem téj lub owéj miejscowości niebezpieczeństwie.

Dnia 24 poczęła już wypływać lawa i zapełniać wklęsłość na wierzchołku góry, zwanéj *Atrio*, tworząc ogromne ogniste jezioro wynoszące do czterech wiorst kwadratowych powierzchni. Wybuch w nocy przedstawiał obraz prawdziwie wspaniały i niezmierne czynięcy wrażenie. Z jeziora ognistego utworzonego na *Atrio*, lawa iskrzącemi ciemnym ogniem strumieniami, wylewała się w czterech kierunkach, fku *Tolre de Greco*, drugi ku *Bosco-Reale*, trzeci ku *Resina*, a czwarty w fossę a raczej głęboki wąwóz zwany *Vetrano*. Z krateru przy ciągłych hukach, wznosił się wysoko słup jaśniejszych płomieni, uwieńczonych niezmiernemi chmurami gęstego czarnego dymu; oświetlonych i odbijających wszystkie zmiany i gry światła ogniów wulkanicznych. Mnóstwo podróżnych Anglików zwłaszcza, zdążało na górę, gdy nagle dnia 26 po południu, stożek kraterowy z niezmiernym hukiem wyleciał w powietrze i ogromna szczelina roztwarła się od wierzchołka ku wniosłości *Somma*, z niej buchnęła lawa straszliwym strumieniem, bo mającym przeszło 500 sążni szerokości, oraz massa dymu, popiołu i rozżarzonych kamieni. W tym wybuchu przeszło sto osób przepłaciło życiem ciekawość swoją, rażeni oni zostali spadającemi kamieniami, lub spaleni w potokach lawy, ucieczka bowiem była niemożebną, dla okropnych ciemności spowodowanych gęstym dymem i deszczem popiołów całą górę okrywających. Popioły te złożone z rozmaitych sproszkowanych cząstek mineralnych, aż do *Eboli*, miejscowości o 60 wiorst od-

ległej. Nazajutrz to jest dnia 27 wyrzucanie lawy z krateru i rozpadlin, znacznie zmniejszać się a strumienie jej wolniej płynąć poczęły, popioły zaś w większej wznosiły się obfitości, pokrywając górę i przyległe okolice warstwą od 2 do 4 cali grubą.

Według obrachunku profesora Palmieri, potok lawy, który zapełnił całkowicie ogromny wąwóz *Val de Vetrano*, w ciągu dni dwóch mógł był się dostać na przedmieścia Neapolu, lecz już dnia 27 potoki te w biegu swym zatrzymywać się poczęły. Jeden zatrzymał się na wpół drogi do *Tarre de Grecco*, drugi przy samym cmentarzu w Portici, trzeci nareszcie dopłynął aż do Ponticelli, uczyniwszy w swym przebiegu niezmierne szkody w mieszkaniach ludzkich, w ogrodach i polach, i zniszczywszy w części dwa miasta: *Massa i San-Sebastiano.*

Popłoch i przestrach mieszkańców Neapolu były niezmierne, a źli ludzie chcący korzystać z tego, powiększali go jeszcze rozsiewając przesadzone lub fałszywe wieści, podrabijając nawet doniesienia, jakoby Palmierego, skłaniające mieszkańców do jak najspieszniejszego opuszczenia swych domów, ażeby mogli korzystać z popłochu i opuszczenia, i bezkarnie kraść i rabować. Policja neapolitańska z trudnością tę ogólną trwogę powstrzymać mogła, aż nareszcie dnia 30 Kwietnia uwiadomiła mieszkańców, którzy siedziby swe opuścili, iż wybuch się skończył i bezpiecznie do domów wracać mogą.

Taki był przebieg ostatniego wybuchu, lecz szkody tak w ludziach, jak w mieniu, nie są jeszcze dokładnie obliczone. W pierwszych dniach przypuszczono, że ofiar było około 2000, lecz wieści te okazały się bardzo przesadzone i wiele osób, które z Neapolu, wiedzeni ciekawością, udały się na górę i za zginione uważane były, popowracały szczęśliwie, choć wiele z nich większe lub mniejsze rany od spadających kamieni otrzymało. Nieustraszony i cały nauce poświęcony Palmieri dotrwał aż do końca w Obserwatoryum swoim, uwagi i spostrzeżenia jakie tam zebrał, rzucą zapewne nowe światło na te straszliwe zjawiska wulkaniczne, świat uczony oczekuje z niecierpliwością dokładnych jego sprawozdań i wniosków.

W skutek tego ostatniego wybuchu, cała góra Wezuwiusza zmieniła swą postać. Krater dawny znikł zupełnie, od wierzchu zaś aż do Somma utworzyła się ogromna rozpadlina, która od dnia 26 prawdziwy stanowiła Krater. Sam szczyt góry obniżył się od strony północnej od południowej zaś podniósł się na znaczną wysokość. Zastygła lawa zajęła cały prawie *Val de Vetrano*, zaległa całą przestrzeń od *Adrie* de *Massa* i pokryła część góry ogromnemi bryłami. Oprócz niezmiernej ilości popiołów, niektóre miejsca okryła bardzo piękna powłoka jaskrawego żółtoczerwonego chlorku żelaza, a w środku *Atrio* utworzyła się obszerna *fumarola* wypuszczająca gęste kłęby dymu, oraz pary siarki, siarko-wodoru i kwasu solnego. W czasie wybuchu na pochyłości góry takich *fumaroli* większych lub mniejszych znaczna ilość była w działaniu.

Niepodobna nam w tem miejscu zapuszczać się w przytaczanie najrozmaitszych teorji i wywodów naukowych, do których ostatni ten wybuch, najściślej ze wszystkich obserwowany dał powód. Ze wszystkich jednak tych spostrzeżeń, najmniejszego wniosku nie można wyprowadzić, co do rzeczy najbardziej okolicznych mieszkańców obchodzącej, a mianowicie na jak długo po ostatnim tym wybuchu, wulkan nieczynnym pozostanie i czy nowa klęska nie nawiedzi wkrótce tę najpiękniejszą Włoch okolicę? To pytanie zapewne pozostanie wiecznie tajemnicą natury, która tyle ich jeszcze ma w zapasie dla swoich badaczy.

O ubiorach.

Prawie codziennie coś nowego ukazuje się w świecie mody: to kolor świeżo wynaleziony i wyłącznie temuż odpowiadający materjał, to jakaś nowa forma pojedynczych części toalety, to nowy układ ubrania, a zmiany i kaprysy mody przyrównać można do fal morskich, wznoszących się w górę i natychmiast zapadających w głębie pod naciskiem nowych.

Od jakiegoś jednak czasu różnica i odmiana zachodzi tylko w dodatkach, gdyż główne formy i kroje pozostają prawie te same. I tak np: od lat kilku już nosimy kostjumy, przyzwyczailiśmy się do tunik, używamy je do każdego ubrania, uważając za bardzo dogodne, obecnie ta tylko zaszła odmiana, iż spacerowe ubranie może być wzięte i do salonu, biorąc w miejsce krótkiéj, powłóczystą spódnicę. O długich sukniach dodamy to, iż teraz bardzo są używane zupełnie gładkie, a garnirunki i przybranie przeniosło się prawie wyłącznie na suknie spacerowe nie sięgające ziemi.

Chcielibyśmy czytelniczkom naszym podać wszelkie wiadomości z pola mody, obecnie jednak nastąpiła chwila przejścia, po której dopiero spodziewać się można zmian większych.

Stanik z baskiną przekształcił się w kaftanik, z przodu otwarty lub zapięty na guziki, przyciskany paskiem, lub też wcale bez paska. Ze stanika z baskiną bardzo łatwo przerobić staniczek z kamizelką, dodając tylko jakiekolwiek przybranie, którego brzegi odznaczają kształt kamizelki.

Co do sukien powłóczystych, to zwracamy uwagę czytelniczek naszych, iż skoro są przedłużone w długi tren to można je nosić bez tuniki zupełnie u dołu nie garnirowane, a całe przybranie stanowi elegancki karoczek.

O ile bogate suknie z trenami modne są bez garnirunków i tunik, to znów przeciwnie, krótsze czyli kostjumy garnirują się coraz suciéj. Ulubione wolanty zaczynają z tyłu sięgać aż do paska, po nad niemi jednakże wznosi się tunika, podpinana w sute bufy, brzegiem sięgająca aż na falbany.

Vêtements tak rozpowszechnione obecnie, modniejsze są z paskami, gdyż takie zgrabniéj odznaczają figurę. Rękawy do sukien dla osób starszych utrzymują się paletotowe, ubrane bogato falbankami, pliskami, bufami lub szerokiemi wolantami naszytemi na wierzchu rękawa poniżej łokcia. Dla osób młodych, zwykle do staników i kaftaników dają rękawy szerokie puszczane, ponieważ tylko przy takich może się odznaczyć całe bogactwo i rozmaitość koronek, tiulów lub muślinów starannie wykończonych i strojnie garnirowanych rękawków, stanowiących niezbędne dopełnienie szerokich rękawów.

Teraz przejdźmy do peleryn, które w ostatnim, czasie zyskały ogólne uznanie i są prawie koniecznemi w garderobie. Chłodne dni jesienne zmusiły pomyśleć o zmianie krótkich peleryn na coś praktyczniejszego.

Jestto tak zwany *Dolman*, w którym szerokie rękawy spadają po za brzegi kaftanika; jest to pośrednia forma między kaftanikiem a peleryną i taki dolman z ciężkiego materjału, podbity jedwabną podszewką stanowi eleganckie i najmodniejsze okrycie jesienne.

Co do kapeluszy to forma ich pozostała niezmienioną, całą różnicę stanowi rodzaj upięcia przybrania; dla osób młodych końce ubrania spadają z boku a z tyłu spuszcza się długi, suto upinany welon.

Na zakończenie dodamy tylko, iż w magazynie pani Thonesowej widzieliśmy dobór najrozmaitszych okryć, szczególniéj też gustowne rotondy angielskie, à dexu face t. j. dające się nosić na dwie strony z kapturkami lub bez od 20 do 23 rs.

Modne są również jako lekkie jesienne okrycia paletociki puszczane z aksamitu lub popeliny irlandzkiej, podszyte na wacie pikowaną materją od 36 do 75 rs. z przybraniem z bogatéj pasmanterji jedwabnéj.

Do spacerowego ubrania pokazywała nam pani Thonesowa piękny kostjum z czarnego dubeltowego kaszmiru, z vêtement, którego stanik podszyty był dla ciepła ponsową flanelką, Brzegi vêtements i szwy miały dodane wypustki ponsowe ze sznureczkiem, w małym zaś odstępie wyszyty był jedwabiami deseń w guście tureckim. Wogóle kaszmiry, atłas wełniany i sukienko najwięcej używane są na kostjumy na obecną porę.

OD REDAKCJI.

Tygodnik Mód i Powieści wychodzić będzie w czwartym kwartale r. b.

Prenumerata zniżona pozostaje ta sama a mianowicie:

W Warszawie kwartalnie Rs. 1 kop. 50.
Na Prowincji z opłatą pocztową kwartalnie „ 2
Półrocznie „ 4
Rocznie „ 8

Należytość prenumeracyjną prosimy przysyłać *wcześnie wprost do Redakcji* pod adresem J. K. Gregorowicza, ulica Żabia N. 956.

W przyszłym numerze rozpoczniemy powieść oryginalnie napisaną przez p. Walerją Marrenné (Morzkowską) p. t. **Depozyt** i tłómaczoną z włoskiego przez p. Jana Chęcińskiego p. t. **Madonna d'Imbevera powieść z XVI stulecia Cezara Cantu.**

Przyjaciel Dzieci pismo tygodniowe illustrowane dla dzieci od 5 do 15 lat wieku, również w kwartale 4-tym wychodzić będzie.

Prenumerata nadzwyczaj niska pozostaje ta sama:

W Warszawie kwartalnie kop. 75.
Na prowincji i w Cesarstwie z opłatą pocztową kwartalnie Rs. 1
Półrocznie „ 2
Rocznie „ 4

Należytość prenumeracyjną prosimy przysyłać pod tym samym adresem jak na Tygodnik Mód i powieści.

KORESPONDENCJA.

P. Emilij T. Salopa futrzana podbita ładnemi lisami, pokryta rypsem jedwabnym z kołnierzem tumakowym kosztuje rs. 200.

Najmodniejsze salopy mają kształt paletotowy z szerokiemi rękawami.

Obecnie najwięcéj noszone są rotondy z miękkich materjałów sukiennych lub kaszmirowe podbite flanelką. Cena ich od 15 do 30 rs.

N. 38. Przyjaciela dzieci wyszedł z druku i zawiera.—Od Redakcji.—Halina Zagórska, Powieść.— Indyczka i gęś, (z ryciną).—Jan Kolna, przez Teressę Jadwigę.—Czyny nauczające, ułożone z historji starożytnéj i nowożytnéj.—Antylopa Gazella, (z ryciną).—Areka, (z ryciną), Jazda psami u Kamczadalów i Eskimosów. (z ryciną).—Wieści ze świata.—Korespondencje.— W dodatku:—Przygody Ryszarda angielskiego. Opowiadanie historyczne, ułożone z powieści angielskich pisarzy. (Ciąg dalszy).

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066*k*. Дозволено Цензурою Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód N. 39 r. 1872.

MIŁOŚĆ DZIEWICY

OPOWIADANIE

Z WYPADKÓW PRAWDZIWYCH

ZASZŁYCH MIĘDZY ROKIEM

1770 a 1794

UŁOŻONE PRZEZ

ERNESTA DAUDET.

(Dokończenie.)

Straszne te słowa brzmiały im w uszach głucho i ponuro, jak skrzyp noża gilotyny. Zrozpaczeni z rozdartem sercem i z oczami zalanemi łzami, zwrócili kroki ku strasznéj sali, w któréj kat przygotowywał ostatni strój na śmierć skazanych. Biedne ofiary tylko co powróciły z sali sądowéj, nie ochłonęły jeszcze z gwałtownych doznanych tam wrażeń, i pozostawało im tylko trzy godzin czasu do chwili spełnienia wyroku. Kto miał w więzieniu krewnych lub przyjaciół, ten, jak Dolores, przyzywał ich aby ostatnie dać i odebrać pożegnanie; kto nie miał nikogo ze swoich, siadał na ustroniu milczący i smutny, spoglądając zazdrośnie na szczęśliwych współtowarzyszy, którzy przynajmniéj téj ostatniéj nie byli pozbawieni pociechy, iż mogli widzieć jeszcze ukochane istoty, zapłakać z nimi i serdecznym uściskiem pożegnać przyjazne dłonie. Jedni pragnęli napisać ostatnią wolę swoją, rozporządzić majątkiem lub jedynemi przedmiotami jakie jeszcze posiadali, a łaska ta zazwyczaj nie była im odmawianą; inni prosili, aby ich na te parę godzin odprowadzono do ich więziennéj celi, aby tam mogli spokojnie przygotować się na śmierć, a byli i tacy którzy kazali podawać sobie najwyszukańsze potrawy i najdroższe wina, aby w braku innych uciech nacieszyć się przynajmniéj zbytkowym stołem. W pośród nich chodził tu i tam woźny trybunału, pytając o nazwiska dla spisania protokółu; daléj pomocnicy kata pilnujący czekającéj ich zdobyczy, oraz nadzorcy spodziewający się, że więźniowie opuszczając więzienie, hojną obdarzą ich ręką.

Dolores usiadła na ławie pod oknem; gwałtowne wzruszenie jakie ją ogarnęło patrząc na wzniosłe szaleństwo Coursegol'a uspokoiło się: zwolna odzyskała spokój. Coursegol stał przed nią i patrzał na nią rozrzewniony, z uśmiechem na ustach; w twarzy jego nie było ani śladu żalu lub goryczy, o tem tylko wiedział, iż zezwalała aby umierał z nią razem. Filip i Antonina weszli do sali; panna de Mirandol podbiegła prędko i klękając przed przyjaciółką, oparła głowę na jéj kolanach i głośno płakać zaczęła.

— Antonino, błagam cię, uspokój się, nie odbieraj mi odwagi w chwili, gdy jéj najwięcéj potrzebuję.

— Ach! czemuż nic nam o tem nie powiedziałaś.

— Chciałabym i wam i sobie wielkiéj oszczędzić boleści; teraz wszystko skończone, nie roztkliwiajmy się daremnie, abym się nie zachwiała w obec śmierci.

I podniosłszy posadziła ją obok siebie, przemawiając łagodnym ale pewnym głosem, i ta co miała umierać pocieszała tę która żyć miała. Filip blady, drżący boleścią i wzruszeniem wypytywał Coursegol'a, który powiedział mu wszystko, zamilczając jednakże, iż Dolores umierała za Antoninę. Jakże zazdrościł wiernemu Coursegol'owi, że mógł umierać razem z Dolores! Jakżeby pragnął jakimś sposobem ściągnąć na siebie gniew Fouquier - Finville'a tak aby go natychmiast skazał na gilotynę!...

— O! tyś szczęśliwy, Coursegol'u rzekł z boleścią, umierasz z nią razem, jakże pragnąłbym zająć twoje miejsce.

Dolores usłyszała te słowa, wstała i przysunąwszy się do Filipa rzekła łagodnie:

— Nie mów tak Filipie; nie sprzeciwiaj się woli Boga, którą ci tak wyraźnie objawia. Mimowolnie stawałam ci się przeszkodą do spełnienia uczynionych zobowiązań; Bóg teraz powołuje mnie do siebie, a tobie żyć każe.... I powinieneś żyć, żyć dla téj któréj przyrzekłeś być opiekunem i mężem; żyć dla nazwiska, które ona tak godnie nosić potrafi.

— O! nie mów mi teraz o żadnych przyrzeczeniach ani obowiązkach; cokolwiek przyrzekałem innego nad to, że ciebie jedną kocham i zawsze kochać będę—skłamałem. Czytaj w sercu mojem, a wszędzie, w najtajniejszych nawet jego zakątkach zobaczysz imię twoje nie zatartemi wypisane zgłoskami. Naucz mnie, ty anielska istoto, ty mężna niewiasto, jakim sposobem można stłumić miłość będącą jedyną radością, jedyną boleścią naszego życia!.. Jak zapomnieć tych błogich chwil młodości, kiedy serca nasze, nie wiedząc jeszcze czego pragną i gdzie zmierzają, budziły się do życia, do kochania..... I od tej chwili jedną tylko miałem myśl, jedną żywiłem nadzieję—połączyć się z tobą nierozerwalnemi węzły... I nadzieja ta była moją siłą i słabością, moją najczystszą radością i najsroższą boleścią....

Mówił w uniesieniu, nieco podniesionym głosem, nie zważając że go ktoś słyszeć może. Daremnie Dolores pragnęła mu przerwać.

— A przecież marzenia moje nie były przesadzone, nie pragnąłem bogactw ani dostojeństw, chciałem poprzestać na cichym i skromnym rodzinnym zakątku, byłbym żył w nim z ukochaną, tak godną kochania kobietą..... Jednak gdy pierwszy raz wyznawałem ci miłość moją, odpowiedziałaś mi: żeń się z Antoniną, ona cię kocha..... ja nie mogę być twoją, ślubowałam Bogu.

— Powiedziałam ci prawdę, odrzekła nieśmiało.

— Nie, Dolores, bo i tyś mnie kochała i tylko poświęcałaś się dla jakichś konwencjonalnych obowiązków. Chciałem wyznać całą prawdę ojcu,—nie dozwoliłaś mi i odjechałaś do klasztoru. Szczęśliwy traf połączył nas znowu, wtedy dałaś mi iskierkę nadziei, abyj ją wydrzeć znowu za ukazaniem się Antoniny. I dziś wszyscy troje jesteśmy nieszczęśliwi... ty umierasz, ja muszę cię przeżyć.... Antonina mnie kocha.

— Jam szczęśliwa, że umieram, odrzekła pewnym głosem.

— I czemuż nie chciałaś podzielić się ze mną tem szczęściem; czemuż dostawszy wczoraj akt oskarżenia, nie powiedziałaś mi, Filipie, tu na ziemi jesteśmy nieszczęśliwi: wieczność uwolni nas od tych niezasłużonych cierpień i połączy nas na wieki; pójdź, umierajmy razem.

— Ja miałabym żądać twéj śmierci!

— O! daleko okrutniéj jest żądać żebym żył!... czemże będzie życie moje odarte z nadziei, że cię kiedykolwiek zobaczę tu jeszcze?.... jedną nieprzerwaną modlitwą do śmierci, aby mnie zabrała jak najprędzéj!

— Filipie! Filipie! zawołała z wyrzutem. Możeszże tak mówić ty, którego życie związane jest z życiem drugiéj istoty, ty który przed Bogiem jesteś już mężem Antoniny, gdyż kapłan słyszał i pobłogosławił przyrzeczeniom, jakieście zamienili przy łożu umierającego ojca.

Filip smutnie opuścił głowę, Dolores mówiła daléj.

— Wszak zawsze powtarzałam ci, że obowiązek nas rozdziela.... nie szukałam śmierci, ale chciałam się poddać woli nieba, czuję to, i dla tego umieram spokojna. Rozstając się na zawsze tu na ziemi, błagam cię, bądź godnym mnie, bądź godnym siebie, twéj przeszłości, twego serca i rodu. Stań śmiało do walki z życiem, spełnij obowiązek jaki sumienie na ciebie wkłada, a im trudniejszy być ci się zdaje, tem głębszego w głębi duszy doznasz zadowolnienia.

Filip milczał, głos wewnętrzny mówił mu, że Dolores ma słuszność—cierpiał niewymownie, słowa zamierały mu na ustach; wtem nagle usłyszeli głośne łkanie, odwrócili głowy, Antonina klęczała z wzniesionemi ku nim rękami.

— Przebaczcie mi! wołała wśród łez.

Dolores pochyliła się aby ją podnieść.

— Filipie! przebacz mi, przebacz! wołała.

Łzy zalały twarz jego, wyciągnął do niej rękę.

— Miejcie litość i nad sobą i nademną, zawołała Dolores; ja tak potrzebuję całej mocy duszy, a wy rozdzieracie mi serce. Antonino, siostro moja bądź spokojna. Filipie, bracie mój, nie poddawaj się zbytecznej boleści; nie rozpaczaj cie nad śmiercią moją nie zapominajcie, że należycie do siebie.

I długo jeszcze mówiła do nich słodko przenikającym głosem, a słowa jej stawały się balsamem pociechy dla ich dusz zbolałych. Głos jéj zdawał się być cudownem echem niebieskich przestrzeni, ku którym dążyła już jéj dusza, jak gdyby unosząc się już po nad znikomym światem, lepiéj pojmował równowagę i prawa wieczności. Mówiła im o wielkich obowiązkach życia, o potrzebie i świętości rezygnacyi, poświęcenia i ofiary. Potem wyjęła z kieszeni kartę bezpieczeństwa, którą Coursegol wymógł od Vauquelas'a i oddała ją Filipowi.

— Karta ta zapewnia wam wolność i życie; za jéj pomocą Bridoul, w zastępstwie Coursegol'a, wyprowadzi was z więzienia i ukaże bezpieczne miejsce, gdzie oczekiwać będziecie upadku złych i tryumfu dobréj sprawy.... A chwila ta nadejść musi, bo przyszłość nie należy do zuchwalców ani gwałtowników, ale do cichych, dobrych i szlachetnych. Teraz zostawcie mnie samą, abym mogła spokojnie przygotować się na śmierć.. przyjdziecie potem i pożegnamy się na zawsze.

Gdy wyszli przeszła w róg sali, gdzie siedział kapłan także na śmierć skazany, i ukléknąwszy odbyła ostatnią spowiedź.

Teraz już spokojnie oczekuję śmierci; jestem gotowa, rzekła do Coursegol'a.

Coursegol widząc ją tak spokojną, tak ożywioną zapałem męczenników, rzekł rozrzewniony:

— Jakżem szczęśliwy, że umieram razem z tobą; tyś tak czysta i święta, że niezawodnie pójdziesz do nieba, może i mnie się uda wcisnąć się tam za tobą...

W tem ruch się zrobił. kilku mężczyzn weszło do sali; był to kat ze swymi pomocnikami. Ukazanie się jego wywołało nie jeden okrzyk przerażenia.

— Już! zawołała młoda jakaś kobieta, odważnie dotąd poddająca się swemu losowi.... i zemdlała— gdy w godzinę później prowadzono ją na rusztowanie, jeszcze nie odzyskała przytomności.

Dolores nie zadrżała na widok kata; widząc że pomocnicy jego obcinają włosy skazanym, zdjęła kapelusz i rozpuściła swe prześliczne blond włosy, które okryły ją jak płaszczem. Dreszcz przebiegł obecnych, gdy nożyce kata ogołociły piękną jéj głowę z téj cudownej ozdoby, jaką ją przystroiła dłoń Wszechmocnego.

— Chciałabym wziąść moje włosy. rzekła do oprawcy:

— To już moja własność, obywatelko; taki jest zwyczaj.

— Czy nie chciałbyś mi ich oddać w zamian za ten pierścionek, rzekła, zdejmując z palca piękny pierścień.

— I owszem.

— Wziął pierścionek, i zebrawszy rozrucone włosy, oddał je dziewicy.

— Szkoda, takie były ładne, rzekła patrząc na nie ze smutkiem; były to jedyne słowa żalu za jéj pięknością i młodością.

Zbliżyła się godzina odjazdu, Dolores przyzwała znowu Filipa i Antoniny; weszli razem z nadzorcą Anbry, który choć oswojony z podobnemi scenami, dziś żywo był wzruszony. Dolores zbliżyła się do niego.

— Serdeczne dzięki za twoją życzliwość i współczucie, byłeś dobrym dla mnie niech ci to Bóg nagrodzi. Przybywszy do więzienia oddałam ci krzyżyk brylantowy.

— Właśnie przyszedłem go zwrócić...

— Zatrzymaj go, przyjacielu, jako dowód wdzięczności téj, która za chwilę stanie przed tronem Przedwiecznego, i tam modlić się będzie za ciebie.

Łzy zakręciły się w oczach nadzorcy, otarł je prędko i wyszedł; nie wolno było płakać nad skazanymi przez trybunał rewolucyjny.

Dolores pobiegła do Filipa i Antoniny; rozpacz prawie odebrała im przytomność. Antonina płakała głośno łkając; boleść Filipa była straszniejszą, milczący i ponury, stąpał jak automat; w jednej chwili o dziesięć lat postarzał.

— Oto macie ostatnią po mnie pamiątkę, rzekła oddając Filipowi włosy; nie rozpaczajcie, ukochani moi, niech wam się zdaje, że wyjeżdżam w dalekie krainy do których i wy udacie się kiedy i tam połączymy się na zawsze. Czemże jest życie jeśli nie wędrówką do krainy śmierci!

Jednak i po jej twarzy łzy płynęły, uściskała serdecznie Filipa i Antoninę, i łącząc ich dłonie, wyszeptała.

— Kochajcie się zawsze, i nie zapominajcie o mnie!

Coursegol zbliżył się do nich. Filip rzucił się w jego objęcia.

— Coursegol'u, rzekł; tyś mężczyzna i dawny żołnierz, ty nie ulękniesz się śmierci, nie stracisz zimnej krwi i do ostatniej chwili czuwać nad nią będziesz.

— Dla tego właśnie chciałem umierać z nią razem, odrzekł z prostotą.

— Dolores, tyś święta, pobłogosław mnie! zawołała Antonina.

— Błogosławię cię, siostro moja, rzekła, kładąc ręce na głowie przyjaciołki.

— Prędzej! w drogę! krzyknął głos groźny.

Trzeba się było rozstać—jeden jeszcze uścisk, jeden ostatni pocałunek.

— Bywajcie zdrowi, Bóg z wami, zawołała, zobaczymy się w niebie!

I prędko wybiegła z sali; Coursegol wyszedł za nią widział jednak jak Antonina padła bez zmysłów i Filip pochylił się, aby ją ratować.

W dziedzińcu więzienia czekał już wózek; związano więźniom w tył ręce, i kazano doń wsiadać; eskorta konnych i pieszych żołnierzy otaczała go do koła i ruszono w drogę. Od Conciergerie aż do placu Rewolucyi, tłum motłochu złożony z mężczyzn, kobiet i dzieci konwojował wózek, wyśpiewując ohydne śpiewki i urągając nieszczęśliwym ofiarom. Więźniowie zdawali się nie zważać na te zniewagi. W jednym rogu wózka stał młodzieniec i siwowłosy starzec; trzymali się za ręce i przez całą drogę wołali: Niech żyje król! Tuż obok nich stał jakiś mężczyzna, republikanin z przekonania, ale nie chcący brać udziału w mordach i pożogach i za to skazany na śmierć— ten patrzał na nich z pogardą i litością. Nieco dalej stał kapłan a obok niego trzy kobiety, ci modlili się i śpiewali nabożne pieśni. Dolores wspierała się na ramieniu Coursegol'a, jakby obca wszystkiemu co się w około niej działo. Wzruszenie, zimno, znużenie, trzęsienie i turkot wózka uderzającego o kamienie, ostatnie pożegnanie ukochanych istot, poświęcenie Coursegol'a wszystko to wprawiło ją w stan niewysłowionego odurzenia. Coursegol nie spuszczał z niej oka; serce mu pękało patrząc na jéj cierpienie, któremu żadnéj nie mógł przynieść ulgi. W téj nawet uroczystej chwili o niéj tylko myślał, zupełnie zapominając o sobie.

Gdy dojeżdżali do Placu Rewolucyi na którym odbywały się egzekucye i narzędzie śmierci ponuro zarysowało się w przestrzeni, Dolores zadrżała, zamknęła oczy i szepnęła.

— Boję się!

— Nie trać odwagi, kochane dziecię, rzekł jéj z ojcowską czułością; kilka chwil jeszcze a wszystko się skończy i Bóg dobry weźmie nas do swego nieba.

I prosty ten człowiek, w téj uroczystéj chwili, umiał znaleźć słowa pociechy, które przywróciły jéj odwagę. Pierwsza wstąpiła na rusztowanie; Coursegol wyprosił tę łaskę u oprawcy, chcąc jéj oszczędzić widoku krwi. I miał odwagę widzieć jak jéj piękna głowa spadła pod nożem gilotyny. Zaraz po niéj wstąpił na rusztowanie, szczęśliwy że ich rozłączenie krótką tylko trwało chwilę, a teraz na całą wieczność będą już razem.

We dwa tygodnie po śmierci Dolores, Filip i Antonina opuścili więzienie, dzięki staraniom Bridoul'a, który nie lękał się własne narazić bezpieczeństwo, byle ich ocalić. Sprzedał swój zakład i wraz z żoną towarzyszył im do domku w dolinie Cheuvreuse. Tam przez dwa lata poczciwi ci ludzie z zupełnem zaparciem siebie zostawali w usługach Filipa i Antoniny, żyjących z sobą jak brat z siostrą, wspólnie opłakując stratę ukochanej przyjaciołki. Przez cały ten czas żadne ani słówka nie wspomniało o dawnych przyrzeczeniach.

Podczas téj dwuletniej samotności, miłość Antoniny spotęgowała się jeszcze, ale pod wpływem pamięci Dolores, wyaniela się i oczyściła z ziemskich pragnień. Teraz i ona zdolną była do największych ofiar, i zostawiła Filipowi zupełną wolność rozrządzania sercem i ręką, i on pierwszy po upływie lat kilku przypomniał łączące ich przyrzeczenia, które Antonina uważała już tylko za najdroższe sercu, ale nigdy niedoścignione marzenie.

— Trzeba nam spełnić ostatnią wolę Dolores, i połączyć się dozgonnemi śluby.

Pobrali się i w kilka tygodni po ślubie udało im się dostać do Anglji, a ztamtąd do Luzyanny gdzie nowa margrabina de Chamoudrin znaczny posiadała majątek. Po dziesięciu latach powróciła do Francyi; mieli dwoje dzieci, syna i córkę, pożycie ich upływało cicho i spokojnie. Zaraz po powrocie do kraju Filip zajął się odbudowaniem rodzinnego zamku, a po ukończeniu budowy stanowczo się tam osiedlił. Było to pod koniec pierwszego cesarstwa: dwa razy był obrany deputowanym, ale postanowił nie mięszać się zupełnie do życia politycznego, zrzekł się więc wyboru i oddał się wyłącznie gospodarstwu i nauce.

W miesiącu maju 1822 r. przyjechał w jakimś interesie do Paryża i spotkał się tam z którymś z towarzyszy więzienia w Conciergerie. Długo rozmawiali o przeszłości, o przebytych wrażeniach i niebezpieczeństwach, o bohaterskich cnotach i wielkich poświęceniach, jaśniejących jak jasne gwiazdy w pośród czarnej nocy terroryzmu. I nie wiedząc iż Filip nic o tem nie wie. wspomniał o Dolores, która własnem życiem okupiła życie Antoniny de Mirandol.

Margrabia de Chamoudrin zbladł i ręką chwycił się za serce,—ale nie krzyknął, nie wyrzekł ani słówka któreby towarzyszowi rozmowy dozwoliło się domyśleć jak głęboko zranił jego zbolałe serce. Miał odwagę ukryć przed żoną tę straszną tajemnicę i Antonina nigdy się jéj nie dowiedziała; uważała tylko, że mąż z większem jeszcze niż dawniéj rozrzewnieniem mówił o Dolores, częściej wspominał o niéj, a gdy podczas długich zimowych wieczorów opowiadał dzieciom smutne dzieje swéj przeszłości, głos jego drżał wzruszeniem i kończył temi słowy.

— Wasza ciotka Dolores był to anioł wcielony, istny ideał bohaterskiego poświęcenia.

KONIEC.

FAYUM, SINAÏ I PETRA

PODRÓŻ

DO ŚRODKOWEGO EGIPTU I ARABJI

SKALISTÉJ

ODBYTA PRZEZ

SŁYNNEGO ARTYSTĘ MALARZA GÉROME

ORAZ

JEGO TOWARZYSZY I UCZNIÓW

STRESZCZONA

przez **Joannę Belejowską.**

(*Dalszy ciąg*).

Z góry ułożony plan naszéj podróży nie dozwalał nam zatrzymać się dłużéj, i zdjąć widok téj cudownéj panoramy. Cały ten Babilon zdawał się być otoczony kolosalnemi wieżycami, najeżonemi murami, a olbrzymie ich rozmiary gubiły się gdzieś w przestrzeni, jakby łącząc się z szeregiem innych miast i równin, co uwydatniało jeszcze te miraże ogromnego miasta, przypartego do grzbietu niebotycznéj góry.

Tegoż jeszcze dnia przybyliśmy do *Wadi-Ani*, którego całą ozdobą jest źródło przezroczystéj wody, ocienione palmami. Mieliśmy zamiar użyć w niem

zimnéj kąpieli, ale Arabowie ostrzegli nas, że pod srebrzystem wód tych zwierciadłem, kryją się miljardy pijawek; musieliśmy zatem wyrzec się téj przyjemności.

Nieco opodal ciągnie się morska zatoka Akabah; i tu woda jest nadzwyczaj przezroczysta, ale także nie zbyt bezpieczna; nie ma wprawdzie pijawek, ale za to można się spotkać z rekinami. Tu wybrzeże morskie całkiem inne ma wejrzenie niż brzegi morza Czerwonego od strony Suezu; nie ma śladu ostrych skał i kamieni, tylko mielutki czerwony piasek, różnobarwne muszle i konchy całe dno zalegają. Patrząc z nad brzegu zdaje się, że bałwany naniosły jakichś ogromnych kwiatów, i rozrzuciły je w głębi wód. Tu widzieliśmy ogromne massy tworzących się korali, najcudniejszym połyskujących szkarłatem, i kto wie czy nie od nich powstała nazwa morza Czerwonego.

W téj miejscowości znajduje się wiele źródeł i duże pasy ziemi wegetacyjnéj, i z tego powodu osiedlają się tu Arabowie trudniący się połowem ryb morskich, których w téj zatoce jest nadzwyczaj wiele. W chwilę po naszem przybyciu, pojawiło się zaraz dwóch rybaków strojnych w właściwe kostiumy, to jest owinięci w sieci, z wielką wędką przewiązaną w pasie. Należeli oni zapewne do pokolenia Beni—guenons; nigdy nie wyobrażałem sobie, aby ludzie mogli tak dalece zbliżać się do małp; widząc ich urywane ruchy, mrugliwe oczy i straszne wykrzywianie twarzy, gdy zaczynali mówić, z początku nie wiedzieliśmy czy możem uznać w nich bliźnich, ale doktór nasz upewnił nas, iż mają do tego najzupełniejsze prawo, skoro nie posiadają ogonów.

Ryb swoich nie chcieli sprzedać za pieniądze, tylko zamienić je na inne artykuły żywności, zapewnie dla tego, że nie mając kieszeni, nie mieliby gdzie chować nosigroszów. Ci dwaj dzicy bardzo nas zajęli; nakarmiliśmy ich do syta, a sądząc, że im się i pić będzie chciało, kazaliśmy podać im dzbanek wody.

— Dziękujemy, *piliśmy wczoraj*", odpowiedzieli. Otóż ci dwaj goryle dali nam na pustyni lekcję umiarkowania.

Wypili jednak po kieliszku wódki, a radość ich nie znała granic; o mało nie połknęli kieliszków, zdawali się być w siódmem niebie.

Zaproponowaliśmy im aby nam towarzyszyli w charakterze nadwornych dostarczycieli ryb, za co mieliśmy ich żywić i poić, zgodzili się chętnie i przyłączyli się do naszéj karawany.

Powyżéj, nad zatoką leżała śliczna wysepka Kurich, na któréj sterczały ruiny klasztoru i obronnego zamku; niegdyś gdy wybrzeża Akabah więcéj były uczęszczane, gdy ciągnęły tędy wszystkie karawany udające się z Arabji do Indji, wysepka ta stanowiła bardzo ważny punkt strategiczny.

Miejscowość odznacza się uroczem położeniem. Góry wpadające aż do morza wspaniały tworzą krajobraz; w pośród nich tu i owdzie roztaczają się ogromne równiny, piętrząc się jedne nad drugiemi; niekiedy, miejscami spadają zaspy piasku, tak śnieżnie białego, iż z oddali można go wziąść za śnieg. Różowe ubarwienie gruntu, szaro-srebrzyste i mocno zielone cienie krzaków, dziwnie harmonijną tworzą całość.

Zbliżaliśmy się do kresu podróży i cała nasza uwaga ześrodkowała się ku drugiéj stronie zatoki, gdzie tuż pod wspaniałym palmowym lasem, miasto Akabah rysowało się w oddali. W tem postrzegliśmy kupki kamieni, symetrycznie poukładane w poprzek drogi.

Szczyty gór strzelają tu prawie pod obłoki, i stanowią nieprzebytą zaporę między jednem a drugiem pokoleniem,—jednak Arabowie nie przestając na tem, usypują jakby kopce kamienne dla oznaczenia granic swych małych państewek. Obalenie tego muru granicznego, byłoby dostatecznym powodem wypowiedzenia krwawéj i mściwéj wojny; to też dowiedziawszy się o tem, omijaliśmy kopce z wielkiem uszanowaniem.

Jadąc ciągle wybrzeżem, minęliśmy nareszcie zatokę morską; już od rana dnia tego, las palmowy, w którego cieniu kryje się Akabah, ukazywał nam się z oddali jakby ziemia obiecana, jakże pragnęliśmy dostać się tam co prędzéj, aby nareszcie wypocząć po długiéj i nużącéj wędrówce.

Dojechaliśmy nareszcie.

IV.

W całéj naszéj podróży wśród pustyni, żadna miejscowość silniejszych nie zbudziła wrażeń, jak *Akabah*. Wszystko tu przedstawiało nam się otoczone jakimś dzikim i malowniczym zarazem urokiem.

Przed nami migotała błękitna powierzchnia morza, w którego falach kąpały się wspaniałe palmy; nadzwyczaj bujna roślinność przypominała lesiste okolice Fayum, a mieszkania ziemne, starannie pod sznur wyciągnięte, nad drzwiami których widniały ozdoby w stylu arabskim, prawie dzikim, oryginalną tworzyły całość, którą uzupełniały jaskrawe ubiory mieszkańców.

Typ ludności był zupełnie odmienny; wysocy i silni jak atleci, umieli nosić swe długie czerwone suknie, a czarne *kuffi* pokrywające ich głowy, uwydatniały dziki wyraz ich męzkich fizjognomji.

Zaledwie rozpieliśmy nasze namioty pod cieniem palmowego lasu, przybyła zaraz liczna deputacya niby winszując nam przybycia, a w rzeczywistości w celu przekonania się, co będą mogli nam ukraść i zrabować. Jakby przeczuciem wiedzeni, najwięcej cisnęli się do namiotu w którym mieściła się kuchnia; tam tłoczyli się najznamienitsi okoliczni szeikowie, i wychylali niezliczoną liczbę filiżanek kawy i kieliszków wódki.

Arabowie mają swój, im tylko zrozumiany system telegraficzny, dzięki któremu doskonale byli zawiadomieni o naszym wyjeździe z Suezu, o ilości i jakości użyczonych nam rządowych dromaderów; o liczbie naszych namiotów i obfitości zasobów. Od miesiąca nas oczekiwali, i uroczyste przygotowali przyjęcie.

Oznajmiono nam że dopiero nazajutrz rano będziem mogli przedstawić się szeikowi Akabah. Czemu? zapytaliśmy—Poszedł kraść wielbłądy okolicznym plemionom i nie powrócił jeszcze z wyprawy—odpowiedziano. W nieobecności tego władcy syn jego robił nam honory, i on sam także zawiadomił nas o zajęciu swego szlachetnego ojca.

Wieczorem przybył do nas w odwiedziny młody gubernator cytadelli Akabah w towarzystwie wielkiego mistrza artyleryi i głównych oficerów swego sztabu. Wielki mistrz artyleryj nie nosił żadnych powierzchownych oznak, zwiastujących wysokie jego dostojeństwo, tylko w ręku trzymał długą tyczkę do któréj przyczepiony był maleńki lont, mający zapalić dwanaście fajerwerków puszczonych na cześć naszą...

Gubernator mógł mieć około lat 30 i widać nie bardzo był zadowolniony ze swego urzędowego stanowiska, które stokroć mniejszą nadawało mu władzę od téj jaką posiadał wielki szeik, zajęty wówczas kradzieżą wielbłądów.

Całe zadanie tego przedstawiciela wicekróla, ogranicza się na zaopatrywaniu w żywność karawan, udających się i wracających z Mekki.

Z rozkładu drogi i ukształtowania pustyni wypada, że wszyscy pielgrzymi koniecznie tu zatrzymywać się muszą, a zazwyczaj doszedłszy do téj stacyi wyczerpali już wszelkie zapasy wody i żywności. Aby zaradzić téj pobożnej nieoględności, rząd urządził tu kolosalny bufet, bez którego żadna karawana nie doszłaby do św. miasta.

Uroczyste przyjęcie, i iluminacja urządzona na cześć naszą, przeciągnęły się do późnéj nocy; ucieszeni iż nareszcie możemy udać się na spoczynek zasnęliśmy snem sprawiedliwych, gdy w tem około piątej rano wpada nasz drogman z oznajmieniem, iż przybył nas odwiedzić wielki szeik, sam w swéj osobie, prawdziwy jedyny Mohammed—Gadd, najotylszy, najstraszniejszy i najbrzydszy ze wszystkich widzianych dotąd.

Siedział na pięknéj klaczy pokrytéj ogromnym czerwonym czaprakiem, a opasła jego postać rysowała się w przestrzeni jakby jaki pomnik; za nim postępował liczny szereg towarzyszy, również od stóp do głów uzbrojonych, i przybranych w długie szkarłatne suknie. Wielki szeik trzymał w lewéj ręce ogromną lancę, przystrojoną pękiem piór strusich, a prawą—darujcie czytelnicy—z wielką ostentacją zajmowała się polowaniem na niepiękne insekta.

W ustach trzymał nierozłączny cybuch; wstrzymawszy konia ciężko spuścił się na ziemię, i jako dygnitarz ufny w swe wszechwładztwo, nie czekając zaprosin, sam się wprowadził do namiotu w którym przyjmowaliśmy dostojnych gości, a nie zastawszy nas tam poszedł prosto do kuchni i tam pożerał co tylko spotkał.

Te tak ranne odwiedziny zaskoczyły nas zupełnie niespodziewanie; drogman nasz rozpaczał iż samemu Mohammed—Gadd każemy czekać na siebie, a my nie posiadaliśmy się ze złości, że nam przerwał sen najsmaczniejszy. Podczas gdy wdziewaliśmy najniezbędniejsze przynajmniéj do tak uroczystéj prezentacji części ubrania, nasz dostojnik raczył przez usta drogmana oznajmić nam swe wysokie zadowolnienie, iż mu smakowały nasze przysmaki. Nasyciwszy się do woli, częstował hojnie swoich towarzyszy, i dopiero nasze ukazanie się położyło koniec grabieży. Zawstydzony uciekł do salonu z pełnemi ustami i z sucharkiem w ręku, i tak rozpoczęło się uroczyste przedstawienie.

Przez pośrednictwo drogmana prawiliśmy sobie nadęte i przesadzone grzeczności: byliśmy świetnemi, od innych wyróżniającemi się gwiazdami, wędrownemi planetami, słońcami niezrównanego blasku, zabłąkanemi perłami z Zachodu i t. d.

Mistrz nasz Gérome, kazał odpowiedzieć na to: „*Powiedz, iż widok jego uszczęśliwił mnie na cały dzień, i aby zachować to wrażenie pójdę napowrót spać się położyć*—i tak też uczynił.

Mohammed-Gadd bardzo był z tego zadowolniony, a my musieliśmy pozostać i starać się go zabawić. Podaliśmy mu kawę i cukierniczkę, w którą wlał swoją kawę i dopiero pił czyli raczéj zajadał zmoczony cukier.

Potem oglądał różne części naszego ubrania, ale nad wszystko podobały mu się buty. Pokazał nam swoje, jaskrawo-czerwone, ale tak wielkie, iż mógłby w każdym postąpić ze trzy kroki. Obejrzał nasze rewolwery i pozwolił nam obejrzeć swoją szablę, swoich ojców i naddziadów, ozdobioną arabskimi napisami, i wypukło—rzeźbą i złotem; rzeczywiście było to drogocenne dzieło sztuki.

Kuchnia nasza tak mu przypadła do smaku, iż zaczął odwiedzać nas po kilka razy na dzień, coraz nowych naprowadzając przyjaciół, i aż dopiero dyplo-

matyczna interwencja młodego gubernatora, uwolniła nas od tych rujnujących odwiedzin.

Akabah jest dziś najznakomitszem miastem w całéj Arabji skalistéj, ważniejszem daleko niż Petra, będącą raczej zgliszczami wielkiego miasta, służącemi za schronienie zgrajom złodziei i rozbójników, uczczonych mianem niepodległych plemion.

Główniejsze pokolenia téj części Arabji, długi czas trzymały w szachu wojska Mehmeda-Alego, który przez zemstę kazał wyciąć wszystkie palmowe drzewa rosnące w okolicy i po nad zatoką, przez co na wiele lat zniweczył bogactwo i pomyślność całéj okolicy.

Nareszcie nadszedł dzień odjazdu; nazajutrz mieliśmy puścić się w drogę do Petra, i z wielkim żalem przychodziło nam rozstawać się z pysznemi dromaderami i poprzestać na wielbłądach, których chód jest daleko powolniejszy i cięższy.

Tu także rozstaliśmy się z naszemi wielbłądnikami, wracającymi do Sinaï, oraz z dwoma żołnierzami, których dodano nam do eskorty. Żegnając się daliśmy im tak hojny bakszis o jakim w marzeniach swoich nie roili nawet,—to też mało nie poszaleli z radości. Mistrz nasz wypłacił każdemu po 100 fr. w złotych sztukach 10 fr. Nie mogło im się w głowach pomieścić, iż stali się właścicielami tylu sztuk złota, i niepodobna opisać uniesień wdzięczności jaką nam okazywali.

Minąwszy wioskę zwróciliśmy się w kierunku północno-wschodnim, i amfilada nowych wadis roztoczyła się przed nami; góry wśród których one się ciągnęły przedstawiały wejrzenie stopniowanych równin koloru ciemno-żółtego, raczej dziwaczne niż ładne.

Teraźniejsi nasi wielbłądnicy byli daleko żywszego i ruchliwszego usposobienia, obładowując wielbłądy, rozpościerając nasze namioty, wyśpiewywali różne bojowe pieśni. Jeden zazwyczaj śpiewał strofy a drudzy recitatiwa powtarzali chórem. Śpiewy składały się z pytań i odpowiedzi jak w tragedjach Sofoklesa. Prosiłem aby mi przetłómaczono niektóre strofy, oto próbka tych wschodnich poezyj.

Arab jeden. On jest tam! on jest tam! on jest.

Chór. Kto? kto? kto? kto?

Solista. Wróg pokolenia. On mnie widzi, ja go nie widzę; jednak za chwilę ja go zobaczę, a on mnie widzieć nie będzie.

Aha! otóż i on!

I tak śpiewają bez ustanku przez całe godziny.

Druga próbka Arabskiej poezyi.

„Lew jest wilkiem, gdyż ja wilk jestem lwem, i pokonam go moją siłą.

„Dzieci jego będą niewolnikami naszych dzieci, jeśli tylko nie staną się ich panami."

Te tak nie wojownicze śpiewy bojowe, są zupełnie odpowiednie wcale nie morderczym walkom jakie Arabowie staczają z sobą, a których małą próbkę widzieliśmy w Petra; tak się obawiają aby sobie nie *zrobić co złego*, iż poprzestają na wydawaniu przeraźliwych krzyków i straszeniu nader groźnemi ruchami, poczem, ściskają się zapamiętale i wszyscy dziękują Allah'owi za zwycięztwo jakie odnieśli........ sami nad sobą.

W tych czułych, pojednawczych uściskach, zazwyczaj ulatniają się ich chustki i zegarki—widać aby rzemiosło to nie wyszło im z użycia i aby nie stracić wprawy.

Z początku te ich śpiewy bawiły nas i rozśmieszały, ale po kilku dniach nużąca ich monotonność uprzykrzyła nam się niesłychanie i drażniła nerwy. Niepodobna jednak było wyperswadować Arabom, aby zaprzestali tych koncertów.

W miarę oddalenia się od pustyni *Thi*, oczy nasze rozkoszowały się coraz piękniejszą zielonością; wysokie trawy i różnobarwne kwiaty, łagodziły żółto—czerwony koloryt skał, srebrno-listne krzewy wyraźniéj się uwydatniły i ładniéj odbijały na jaskrawem tle gór, niż na piaskach na jakich spotykaliśmy je dotąd.

Nieco na prawo *Djebel-Tsagra* rysował się na horyzoncie; kazaliśmy rozpiąć namioty w tym cyrku przyrodzonym utworzonym przez skały. Tu widzieliśmy liczne trzody baranów, kóz i wielbłądów, szukające schronienia przed gwałtownym wichrem. Kraj coraz bujniejszą pokrywał się zielenią, tu i owdzie rozległy się ogromne przestrzenie zarosłe krzakami, których drżące liście nadawały pustyni postać wzburzonego morza.

Ta bujna roślinność stała się przedmiotem nieustannego zajęcia naszych wielbłądów; używały i nadużywały zielenin, a skutki ich przejedzenia nader dotkliwie uczuć nam się dawały.

Przez całą długość *Wadi-Delega i Am-Rejzis* jechaliśmy wąwozem ciągnącym się między dwoma jakby murami białemi, wytworzonymi przez naturalne łożysko strumienia. Na tych-kredowatych skałach pokrytych trawą zieleni i krzewami zamieszkiwały niezliczone stada kuropatw, mnóstwo ich padło ofiarą naszych strzałów i z pomocą szwedzkiego kociołka ukazały się na naszym stole. Co krok napotykaliśmy liczne stada koni bujające swobodnie, szczególniéj zwracały naszą uwagę przepyszne klacze otoczone źrebiętami.

Jeden z moich towarzyszy zapragnął kupić ślicznego wierzchowca, ale wielka zachodziła trudność z kim traktować o sprzedaż, gdyż nawet cień właściciela nigdzie się nie pokazywał. Byliśmy jednak pewni, że choć niewidzialny dla nas, sam doskonale widzi nas i obserwuje, gdyż krajowcy zazwyczaj kryją się po za skały i ztamtąd wypatrują i czyhają na podróżnych, aby można napaść na nich niespodzianie i zrabować. Liczne stada zdające się bujać swobodnie są najściśléj kontrollowane, każdy koń opatrzony numerem, a w razie braku którego całe pokolenie jego właściciela zajmuje się odszukaniem zguby, i choćby zbrojną ręką odbiera przywłaszcicielowi.

Kradzież trzody i zwierząt stanowi jedno z głównych zajęć mieszkańców i jest powodem nieustannych zajść i niesnasek między pokoleniami, które nie ma spokóju dopokąd nie odkradną co im ukradziono. Na ostatniéj stacji eskortujący nas Arabowie przedstawili nam jednego ze swych przyjaciół, pasterza z pobliskiéj okolicy, używającego sławy najbieglejszego najzręczniejszego złodzieja. W przekonaniu krajowców była to wielka znakomitość, okazywali mu najgłębszy szacunek i uwielbienie, jakie zawsze w nich budzi wytrawny złodziéj lub też sprawca zręcznéj obmyślanéj i szczęśliwie dokonanéj napaści.

Niestety! nadchodziła chwila w któréj mieliśmy przypatrzeć się do woli najznakomitszym typom tych przemysłowców: być świadkami a nawet ofiarami ich rzemiosła, postradać ostatnie zapasy cukru, kawy i najulubieńszych naszych przypraw i przysmaków, tem się jedynie pocieszając iż przynajmniéj my sami wyszliśmy zbrojną ręką, cali i nienaruszeni. Ale o tem w części trzeciéj.

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ.

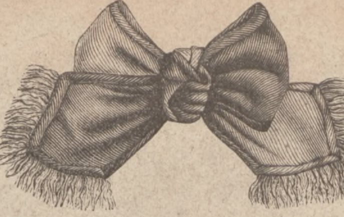
Różne wiadomości.

Teatr ludowy w Moskwie. W niedzielę, 4 czerwca, o godzinie 2-ej po południu, miało odbyć się w teatrze ludowym pierwsze przedstawienie. O teatrze tym Mosk. Wied. piszą: Budowniczy p. Hartmann nadał gmachowi teatru kształt oryginalny; czworobok przeznaczony na scenę łączy się bardzo efektownie z półkolem sali przeznaczonéj dla widzów. Wnętrze sali, nie całkiem jeszcze ukończone jest bardzo piękne; cała sala ta ma być pomalowana gustownie w stylu ruskim, podług rysunków p. Hartmanna. Patrząc na salę przeznaczoną dla widzów, nie można nie podziwiać nadzwyczajnéj lekkości budowy; nastręcza się pomimowolnie myśl, jak i na czem trzyma się cały ten gmach; gdzie można będzie zmieścić 2000 widzów? Wytworna lekkość budynku jest jednem z najtrudniejszych zadań sztuki budowniczéj; pomyślne rozwiązanie tego zadania świadczy o znakomitym talencie p. Hartmanna, lecz większy jeszcze zaszczyt przynosi mu to, że potrafił być oryginalnym i zbudował teatr prawdziwie ruski. Budowniczy miał także na widoku stronę ekonomiczną tego gmachu: teatr napozór jest niewielki lecz każde przedstawienie, w razie zajęcia wszystkich miejsc, wyniesie około 800 rub. (Dochód z małego teatru w Moskwie, do czasu niedawnego podniesienia cen, wynosił 1,026 rub.) Powietrze w sali przeznaczonéj dla widzów odświeżane będzie za pomocą wodotrysku; nie zapomniano przeto i o warunkach hygienicznych. Komisja trudniąca się urządzeniem teatru ludowego, powodowało się przy wyborze artystów zasadami wyłącznie artystycznemi. Aktorzy mający na prowincyi wielką renomę, znani byli jedynie z nazwiska miłośnikom sztuki dramatycznéj w stolicy. Do składu trupy teatru ludowego weszło kilku artystów mających na prowincji głośną sławę; oprócz tego, niektórzy z znakomitszych artystów dramatycznych prowincjonalnych brać będą udział w przedstawieniach tego teatru jako goście. Taka jest pierwsza, bardzo znaczna zasługa położona przez osoby urządzające teatr ludowy! Zapraszając artystów, którzy zdołali zdobyć sobie renomę na prowincyi, komisja postąpiła sobie w sposób jak najracjonalniejszy, jedyny możebny w danych okolicznościach. Postarała się ona przedewszystkiem o to, ażeby teatr ludowy był teatrem artystycznym. Teatr ludowy miał także do rozstrzygnięcia kwestję stosunku do autorów dramatycznych, lecz i ta również kwestja załatwiona została w sposób jak najstosowniejszy. Komisja postanowiła zawierać z autorami umowy dobrowolne, bez oznaczenia zawczasu wysokości honorarjów autorskich, które naturalnie muszą być niejednakowe, stosownie do zalet utworu oraz do téj okoliczności, czy utwór autora przedstawiony będzie po raz pierwszy w teatrze ludowym, czyli też wchodzi jedynie do jego repertuaru. Widowiska w teatrze ludowym dawane będą w ciągu czterech miesięcy, do I października.

OD REDAKCJI.

Obecny numer 39 jest ostatnim w kwartale *trzecim.* Przypominamy przeto Szanownym Prenumeratorom, którzy życzą sobie pismo nadal odbierać, o wczesne nadesłanie należytości, aby uniknąć zwłoki w odebraniu dalszych numerów.

Opis do N. 39.



N. 1. Kokarda z dwojakiéj materji.

N. 1. Kokarda z dwojakiéj materji. Do ułożenia kokardy użyć można aksamitu i materji jedwabnéj w dwóch odmiennych kolorach lub do cieniu. Wzór nasz z niebieskiego i piaskowego jedwabnego rypsu, dozwala rozróżnić kolory. Każdy pukiel i koniec wymaga skośnego kawałka 12 cent. szerokiego i 26 do 28 długiego; na węzeł przewiązany luźno potrzeba 28 — 30 cent. długiego kawałka. Obrąbki odwijają się na wierzch a wszystkie części kokardy po założeniu w trzy fałdy, przytwierdzają się na sztywnym tiulu. Krepowana frendzla, 3 cent. szeroka, otacza brzegi końcy.



N. 2. Uczesanie z grzebieniem.

N. 2—3. Dwa sposoby uczesania głowy. Wyjątkowo zaledwie, natura obdarza niektóre osoby taką obfitością włosów, ażeby te wystarczyły do podanego przez nas sposobu czesania głowy. Z pomocą sztuki łatwo będzie ten niedostatek usunąć, dopełniając przypiętemi warkoczami, lub dodając do własnych tylko niewidoczne, lekkie i miękkie krepiny.

N. 2. Uczesanie z grzebieniem. Potrzeba najpierw rozebrać włosy poprzecznie przez głowę, następnie część przednia rozdziela się na pięć równych części, z których ułożone są pukle karbowane i zwijane nakształt loków. W takiż sposób oddzielają się włosy na długie pukle boczne podwinięte ku tyłowi głowy. Z reszty włosów upina się kilka pukli lub układa luźne podwójne sploty, przytwierdzone do mocno splecionego i płasko pod spodem przypiętego warkoczyka, stanowiącego umocowanie dla grzebienia wysokiego, wyrzynanego w arabeski.



N. 3. Uczesanie z kokardą.

N. 3. Uczesanie z kokardą. Na włosy uczesane z tyłu jak na ryc. 2 odwija się przednia część włosów przykarbowanych i lekko podczesanych na miękkim wałku z krepiny. Włosy odwinięte przedzielają się wstążką lub opaską. Oryginalna kokarda przedstawiona na ryc. 3 składa się ze wstążki rypsowéj czarnéj i niebieskiéj. Kwiat róży otoczony trzema listkami, przyozdabiający głowę, układa się podług wzoru z podwójnego 4 cent. szerokiego skosu, przez połowę niebieskiego i czarnego. Każdy listek wymaga dubeltowego trójkąta, którego brzegi proste są 4 cent. długie. Róża do kołnierzyka przypięta jest na kokardzie z dwóch pukli 9 c. szerokich i 6 długich.



N. 4. Suknia z garnirunkiem ułożonym w fałdy.

N. 4. Suknia z garnirunkiem fałdowanym. Do sukni matowéj wełnianéj z tuniką i bluzką, używa się na garnirunek materji jedwabnéj w tym samym kolorze. Garnirunek układany w kontrafałdy, u dołu zakończony ząbkami z materji, ma z obu brzegów przystębnowane pliski jedwabne. Do sukni garnirunek powinien być stosunkowo szerszy, albo też można ją zrobić gładką lecz z trenem.



N. 5. Wycięty stanik z baskiną, przybrany riuszą.



N. 6. Wycięty stanik z baskiną przybrany plisami.

N. 5—6. Wycięty stanik z baskiną, dla panienki od lat 11 do 14.

Na rycinie 5 i 6 przedstawiony jest z przodu i z tyłu ładny wycięty staniczek z baskiną. Ubranie do każdego stanika podaliśmy odmienne. Suknia do tego stanika ma tylko obrąb 6 cen. szeroki, tunika zaś podpinana z boków kokardą, ozdobiona jest takimże garnirunkiem jak przy staniku.

N. 5. Wycięty stanik z baskiną przybrany riuszą. Riusza do jasno piaskowéj, bareżowéj sukni jest z materji niebieskiéj; obrębione skosy 5 c. szerokie składają riuszę do stanika, 6 cent. szerokie dane są przy tunice. Jeśli riusza ma być z tego co suknia materjału, to musi mieć wypustkę ta-

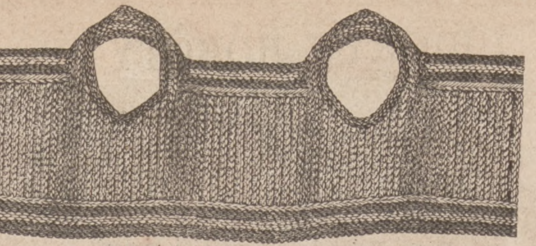


N. 7. Ubranie wizytowe.

kąż lub jedwabną kolorową. Kokardy w tym samym kolorze. Rękawiczki z materjału piaskowego.

N. 6. Wycięty stanik przybrany plisami. Pliski lila 3 cent. szerokie oszyte białym brzeżkiem i irlandzką koronką, stanowią garnirunek do popielatéj bareżowéj sukienki. Rękawiczki do ubrania na wsi w ogrodzie, z białego muślinu z długiemi bufami.

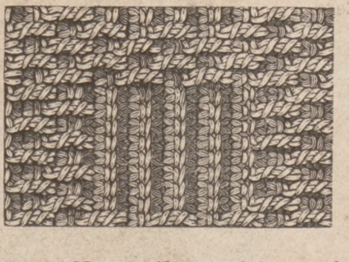
N. 7. Ubranie wizytowe. Czarny atłas w rzut kolorowy i w żółte z czarnym pasy, w kawałkach 43 cent. szerokich, stanowią oryginalne szarfy sukni wizytowéj z czarnego jedwabnego rypsu. Z każdego boku tuniki, z pod fałdy ułożonej przez podpięcie na biodrach, spada szarfa 43 cent. szeroka i 65 długa, od góry sfałdowana do szerokości 6



N. 8. Kaftaniczek dla dziecka. Robota na drutach.



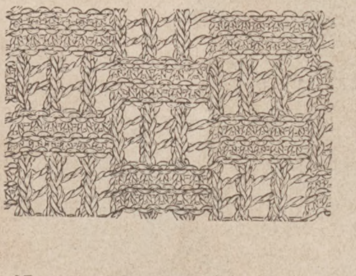
N. 12. Szydełkowy kaftanik dla dziecka. Patrz N. 13.



N. 13. Tło szydełkowe do ryc. 12.



N. 9. Sukienka dla dziecka, robiona szydełkiem i na drutach.



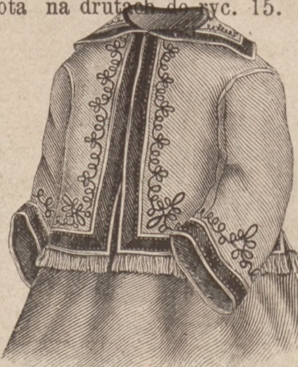
N. 14. Tło w kwadraty robota na drutach do ryc. 15.



N. 15. Kaftanik dla dziecka robiony na drutach. Patrz N. 14.



N. 10. Stanik i karoczek do ryc. 1 w N. 38 T. Mód.



N. 11. Kaftanik z marynarskim kołnierzem. Do ryc. 1 w N. 38. Tyg. Mód.

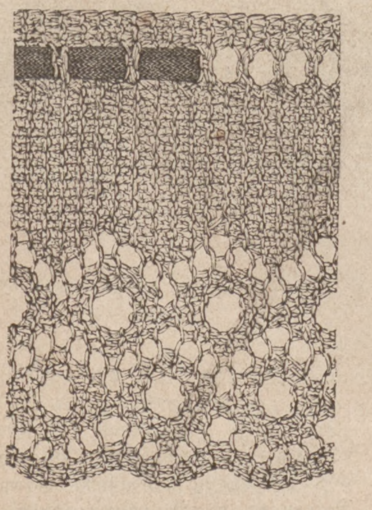
cent. oszyta u dołu frendzlą 15 cent. szeroką. Z tyłu od końca stanu, dane są z téj co szarfy materji dwie fałdziste bufy po 35 centy. długości, na które potrzeba materjału 53 centy. Stanik i vêtement są z tyłu krajane w jednym ciągu, z przodu każda część osobno. Stanik z przodu w rodzaju baskiny 12 cent. długiej, ścięty jest ku boczkom do 3 cent. skośno. Długa falbana na 26 cent. do rękawa 34 cent. długiego, jest w środku 17 przy szwie 10 cent. szeroka. Żółte i białe pliski atłasowe stanowią ładne zakończenie brzegów tuniki i rękawów, wycinanych w zęby. Na staniku przybranie dane jest w kształcie kaftanika otwartego z przodu i z tyłu aż do stanu, z kamizeleczką i plecami.

N. 8. Kaftanik dla dziecka. Robota na drutach.

Materjał: włóczka biała i ponsowa, angielska. Kaftaniczek z białéj angielskiéj włóczki, z kwadratowym wykro-

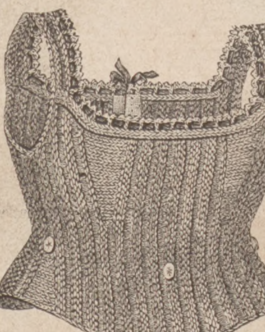


N. 20. Koszyk dla dziecka używany przy kąpieli.



N. 17. Koronka robiona na drutach.

jem, zapinany z tyłu na guziki, robi się poprzecznie tam i napowrót. Zaczyna się na 40 oczek, przerabia 84 rzędów i zaczyna robotę ramiączka, przybierając na ramiączka, a gubiąc na wykrój pachy. Pasek ramiączka przyczepia się kilkoma ściegami od spodu. Przerabiając szlak ponsowy nabiera się oczka na drut i robi tam i napowrót 4 ponsowe, 4 białe i znów 4 ponsowe rzędy, obrabiając brzegi górne, potrzeba gubić oczka w rogach kwadratowego wykroju. Pachy obrobione są 2 rzędami włóczki ponsowéj.



N. 18. Gorset na drutach dla dziecka od lat 4—6.



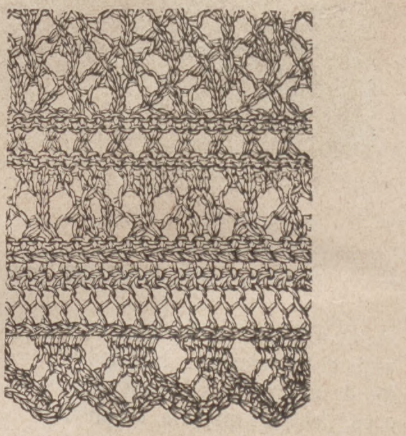
N. 19. Łóżeczko dla dziecka ozdobione kotarą.

N. 9. Sukienka ze stanikiem dla dziecka. Robota szydełkowa i na drutach. Materjał: biała miękka wełna. Sukienka podana na ryc. 9 zapinana jest na ramionach i dogodna dla dzieci. Spódniczka robi się szydełk..., staniczek zaś nigdzie nie zapinany robiony jest na drutach. Spódniczka zaczyna się na 200 ocz. i obrabia najpierw brzeg dolny o. śc. trzy razy, zajmując zawsze za zwierzchnią połowę oczek, daléj robić potrzeba zwykłym tunetańskim ściegiem. Po skończeniu 45 rzędów, brzegi zszywają się z sobą. Staniczek zwykłą robotą drutową robiony w prążki 2 o. gł. 2 kr., przy zaczęciu potrzeba oczka pozostałe od tunetańskiej roboty rozdzielić na 4 lub 5 drutów. Do zaczęcia ramiączek obrabia się 40 razy, w rzędzie 41 po przerobieniu 28 o. potrzeba przybrać 14 o. pow., daléj przerobić następujące 66 o. i znów 14 o. pow. przybrać na ramiączka. Górny wykrój stanika, ramiączka i spódnica obrabia się szydełkowemi ząbkami. Każdy p. ząbka liczy 1 o. śc., * 3 o. pow., 1 o. śc. w pierwsze z powietrznych, 1 o. śc., opuszczając jedno o. poprzedniego rzędu. Powrócić od *.

N. 10 — 11. Opis podany był w N. 38 przy rycinie 1.

N. 12—13. Szydełkowy kaftanik dla dziecka.

Kaftaniczek sznurowany z tyłu kolorową wstążeczką, robi się wzdłuż tam i napowrót. Zaczynając od tylnego brzegu kaftanika na 90 oczek, robi się 11 podwójnych rzędów, zajmując za tylną połowę oczek, przerabia na końcu ostatniego rzędu, 12 o. na ramiączko i robi znów 11



N. 16. Zakończenie rękawów do kaftanika N. 15. Robota na drutach.

podwójnych rzędów, zostawiając przy ostatnim rzędzie 12 o. na przedni wykrój szyi i przerabiając daléj jeszcze 8 podwójnych rzędów do środka przodu stanika. Druga połowa robi się tak samo lecz w odwrotnym kierunku. Ramiączka wszywają się lub spajają szydełkiem. Kwadratowy deseń tła, odrabia się po skończeniu trzech rzędów gładkich w następny sposób podług ryciny 13 * 9 o. śc. 1 sł. przechodzący wierzchem przez 2

rzędy, 1 o. śc. i znów 1 sł. Po każdym rzędzie deseniu przerabia się jeden rząd gładko. Na rękaw prosty, który zeszywa się lub spaja szydełkiem, potrzeba 35 rzędów zaczynając na 70 oczek. Dziureczki do sznurowania liczą po 6 o. pow. przedzielanych 3 o. śc., opuszczając po 3 o. poprzedniego rzędu.

N. 14. Tło w kwadraty robione na drutach. W tle tem kwadraty ażurowe i matowe mieniają się na przemian i liczą po 6 do 8 oczek. Włóczka do téj roboty używa się berlińska, angielska lub nawet cienka biała bawełna, jeśli tło takie ma być zastosowane do chusteczek na głowę. Na rycinie 14 kwadraty liczą po 6 oczek. Po przerobieniu każdego rzędu całkowitych kwadratów potrzeba jeden raz przerobić gładko.



N. 21. Sukienka z fałdowaną tuniką. Tył do ryc. 22.

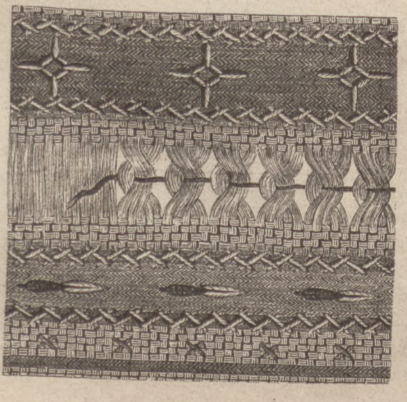
N. 15 — 16. Kaftanik dla dziecka, robiony na drutach. Materjał: estramadura N. 80. Przód i plecy



N. 25. Zakończenie do krawatek, szarf, kokard i t. p. Haft z podłożeniem tiulu.

kaftanika jak również i rękawy, robią się osobno podług dobrze dopasowanych pojedynczych części kroju. Po ukończeniu, części pojedyncze zeszywają się z sobą a brzegi obrębiają szlakiem. Przód zaczyna się na 120 o. na każdą część pleców zaczyna się u dołu 75 o., rękaw zaś na 57. Robotę przybierając i gubiąc potrzeba często przykładać do wyciętéj formy ażeby i kaftanik mógł dobrze być dopasowany.

Zresztą liczba oczek w robocie stosuje się do grubości bawełny i do ciaśniejszego lub wolniejszego sposobu robienia. Wykrój



N. 27. Szlak brzeżny do dywana ryc. 9 w N. 38 T. Mód.



N. 23. Wałek z haftowanemi pasami. Patrz ryc. 24.



N. 24. Deseń do haftu atłaskowego. Na pasy do ryc. 23.

szyi obrobiony jest brzeżkiem do przewłóczenia wstążeczki, równie jak i mankiety przy rękawkach, zakończonych szlakiem, podanym na rycinie 16 w naturalnéj wielkości.

N. 17. Koronka robotą drutową. Dla osób zajmujących się drutowemi robotami wystarczy dokładny wzór N. 17, gdyż liczba oczek zależy od grubości drutów i bawełny.



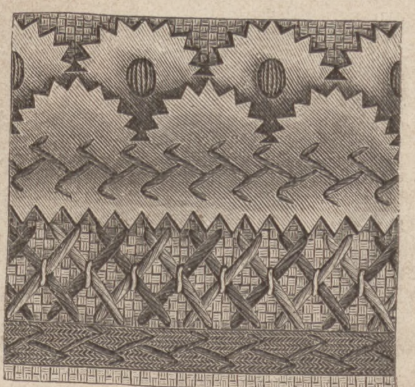
N. 22. Sukienka z fałdowaną tuniką. Przód do ryc. 21.

[illegible] **Gor**[illegible] robiony na [illegible]rutach dla panienki od lat 4—6. Gorset taki zapinany z tyłu na guziki bardzo dogodny jest dla małych dziewczynek, gdyż odrobiony z bawełny, bez żadnych fiszbinów nie uciska figury i zostawia wszelką swobodę ruchów. Robota gorsetu jest zwykła w prążki z gładkich i na odwrót robionych oczek. Kliniki na biodrach i piersiach robią się przez przybieranie oczek i liczą 38 o. szerokości i 27 cent. wysokości w pośrodku. Wykrój szyi obrobiony jest szydełkowym szlaczkiem do przewłóczenia plecionki lub wstążeczki.



N. 26. Zakończenie do krawatek, barbek, szarf i t. p. Irlandzka koronka z podłożeniem tiulu.

N. 19 — 20 Łóżeczko z kotarą i koszyk dla dziecka używany przy kąpieli. N. 19 Łóżeczko koszykową robotą opiera się na podstawie z wysokim prętem, na którym przytwierdzone są firanki. Ściany łóżeczka z wierzchu i od środka pokryte są przepikowaną materją niebieską. Brzeg górny przykrywa podwatowany skos jedwabny, przepinany guziczkami. Z pod niego spada muślinowa falbanka



N. 28. Szlak do dywanu, ryc. 9 w N. 38 T. Mód.

układaua w kontrafałdy, 7 cent. szeroka; patki niebieskie, 2 cent, szerokie, naszyte aplikacją, przepinają falbanę wycinaną w zęby. Zakończenie fałdowanego paska, idącego z wierzchu przez środêk łóżeczka, stanowi 4 cent. szeroka riusza muślinowa przeszyta wstążką. Kotara podszyta błękitną materją, zakończona bufą przepinaną paskami niebieskiéj materji, przytwierdzona jest dużemi szarfami z niebieskiéj wstążki.



N. 29. Bretelki z materjału w paski. Patrz rękaw N. 30.



N. 30. Rękaw przybrany falbankami w paski. Patrz ryc. 29.

N. 20. Koszyczek na rzeczy. Koszyczek podany na ryc. 20 dość jest obszerny, aby pomieścić kamionkę z gorącą wodą owiniętą w koszulkę, kaftaniczek, pieluszki i płaszczyk kąpielowy. Kieszenie dane po bokach powinny zawierać wszelkie drobiazgi potrzebne przy kąpieli i całe ubranie maleńkiego dziecka, tak ażeby przy kąpieli i ubraniu można było mieć wszystko pod ręką. Biały muślin powleka gładko wewnętrzne ściany koszyka, pokryte zwierzchu i wewnątrz materją niebieską, mające 50 cent. długości, 18 cent. wysokości i39 centy. szerokości dna. Zwierzchu muślin ułożony jest w kontrafałdy.



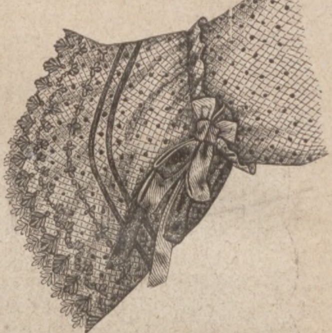
N. 33. Suknia z vêtement przybranemi kokardami.

Riusza i przybranie takie jak przy łóżeczku opisanem poprzednio.

N. 21—22. Sukienka z fałdowaną tiuniką dla panienki od 8 do 11 lat. Na rycinie 21 i 22 podajemy z przodu i z tyłu dwie odmienuie ubrane sukienki, z gładkim stanikiem pod szyję, z rękawami zwykłą paletotową formą i tiuniką nie podpinaną, otwartą z przodu. Tunika ma 32 c. długości i po ufałdowanin w kontrafałdy wszywa się do paska nakształt karoczka. Do zaokrąglonego bryta przedniego, przyszywają się bryty boczne prostym brzegiem, a do tylnego prostego bryta ścinają się skośno. Z tyłu na środku paska przyszywa się kokarda.



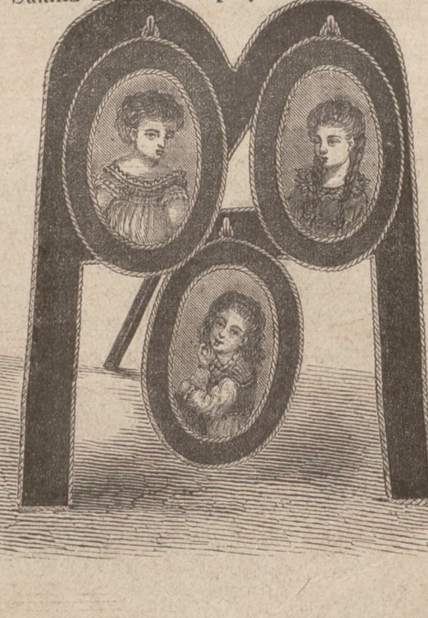
N. 31. Chusteczka z czarnego tiulu. Patrz rękaw N. 32.



N. 32. Rękaw z czarnego tiulu do ryc. 31.



N. 35. Ubranie do konnéj jazdy.



N. 34. Stojące ramki.



N. 36. Vêtement z karoczkiem do paska.